

WRAŻENIA  
STAREGO  
KAWALERA

---

WRAŻENIA  
STAREGO KAWALERA

SCARABEJUS

---

WRAŻENIA  
STAREGO KAWALERA

---

WRAŻENIA STAREGO KAWALERA  
OŚWIADCZYNY — POWRÓT DZIEDZICA — CIOCIA MARCYSIA  
NA CMENTARZU PETERSBURSKIM — VANITAS VANITATUM  
CUSTOS QUID DE NOCTE — JERUZALEM



PETERSBURG  
KSIĘGARNIA K. GRENDSZYŃSKIEGO  
1898

BIBL. GŁÓWNA



64612

WRAŻENIA  
STAREGO KAWALERA

---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

K-218/76/73963

Jaka to jednakże okropna cisza panuje w mojem mieszkaniu. Lampa jakoś mdławo się pali na biurku, w jednostajnej pomroce nikną moje obrazy i książki, a przez okna wciskają się martwe białski śniegu. Zanosi się na długą noc bezsenną, a u mnie i we mnie taka pustka i taka cisza!...

Powiadają, że samotność umysł pogłębia i ducha hartuje. Bywa to wtedy chyba, jeżeli człowiek w samotności obcuje ze samym sobą. Ja wszakże znam samotność gorszą, kiedy napróżno szukam własnych myśli i uczuć własnej woli i wiary, słowem szukam własnego ja a nie znajduję. Wszystko moje ginie gdzieś i roztapia się w duchowym bagnie znużenia i nudy. Błogosławionych

nawiedzają stany zachwyty, gdy duch ich kąpie się w niebiańskich toniach ideału i wychodzi z nich pokrzepiony i orzeźwiony. Ja takich stanów nie znam; doświadczam natomiast okropnych chwil gnęźnięcia ducha w nicości, skąd próżno nasze *ja* wyrwać się stara, beznaściejnie szamocąc się w pustce.

Mnie się więc nieraz zdaje, że jeżeli istnieje jakaś nieskończenie błoga wieczność, wyższa od naszej świadomości, to musi być (o ile nirwana być może) jakaś niższa od nas, nieskończenie marna i nędzna nirwana, której przedsmak uczuвам w czasie nocy bezsennych. Bronię się więc od niej czem mogę: myślą, wspomnieniem, marzeniem, rzućcam to wszystko w smutne bagnisko mego ducha, nad którym błysną one chwilowo jak błędne ogniki, ażeby się znów rozpląnąć w szarej nudzie i pustce.

Czyśmy już wszyscy tacy epigoniowie romantyzmu a ojcowie nowych prą-

dów? Ach, ojcowie? Wolałbym być ojcem zwyczajnym i nie jakichś tam prądów, ale zdrowych chłopaków, jak oto mój dawny przyjaciel, którego list trzymam właśnie w ręku. List bardzo jakiś nieporządny, bo jak pisze, myśli zebrać nie może, »tak dzieciśka hałasują«.

No proszę! U nich tam »dzieciśka hałasują«, a u mnie taka cisza, taka martwa cisza.

Ale wieczna zwrotka w liście o mojem starokawalerstwie jest, i to nawet z cytata Sienkiewicza, iż »starokawalerstwo jest zazwyczaj ukrytą tragedya«. Cytata owa może i słuszna, ale do mnie bynajmniej się nie stosuje, moje albowiem starokawalerstwo żadną tragedya nie jest. W rezultacie pracowitego życia zdobyłem sobie mękę i nudę, ale z nudów nikt tragedyi nie ułoży.

Złożyłem wiele dowodów wytrwałości i intelektualnej siły, byłem przytem zawsze człowiekiem porządnym światowo

i wedle dekalogu więc żony bliźniego nie pożądałem, jednak w tem wszystkim nie było za grosz materyału na bohatera romansu a tem mniej tragedyi. Miewałem jeno jakieś głupie nowelki, z których oto garść wspomnień sobie ułożyć spróbuję. Zaczniemy więc od pierwszej młodości.

\* \* \*

Pamiętam śliczny wieczór czerwcowy. Przez otwarte drzwi kościelne napływa światło zachodu, fantastycznie złącząc słupy kurzu i kłęby dymu z kadzideł. My — ósma klasa — chowamy córkę stróża gimnazyalnego i ja, jako inicjator tego składkowego pogrzebu, szykuje kondukt. Wyglądam bezwątpienia bardzo śmiesznie ze swoją pretensjonalną postawą, wypomadowaną grzywką i tendencyjną powagą w twarzy, ale oto z bocznej ławki wznoszą się ku mnie cudowne czarne oczy, na które niby to

nie zwracam uwagi, ale przed którymi w istocie nieustannie pozuję. Czarne oczy nie umieją się na tem mojem pozowaniu poznać, nie dostrzegają rozmaitych moich śmieszności, patrzą tylko na mnie z rozrzewnieniem i uwielbieniem. Wspominają sobie zapewne, jak jeszcze przed tygodniem wykładałem im teorię Darwina (wedle »Przeglądu Tygodniowego«), jak natrzasałem się ku ich zgorszeniu z ceremonij kościelnych, a oto obecnie na ich prośbę pogrzeb dla ubogiej sieroty urządzam.

Wdzięczne mi więc są czarne oczy i ślą mi strzeliste spojrzenia a tu tymczasem organ grzmi, wiatr zlekką igrą chorągwiemi, a wśród migocących gro-mnic bieleje mała trumienka.

Bierzemy ją na ramiona, chóralny »Anioł Pański« i jeszcze jedno ostatnie spojrzenie, pod którego ciepłem i pod wrażeniem śmierci tak jakoś dziwnie mięknie moje gimnazyalne serce, iż oto

ja, rzekomy »pozytywista« i wszelaki inny »ista«, zaledwie stłumić mogę mimowolne łkania, a łzy, dobre jakieś, ciepłe łzy gwałtownie cisną się do oczu.

Idziemy naprzód i wszystko znika. Gdzież wy to teraz czarne oczy, na kogo patrzycie i czy w trudzie życiowym, w codziennej męce nie pozbyłyście się tej promienistej siły, która nawet sztucznie pozujące na oschłość serca, zwyciężać umiała?

\* \* \*

Ach — wogóle dobre to były czasy, a pomimo, iż wedle ówczesnej haniebnej mody pozowałem stale na »seryoznego« człowieka zdarzało mi się jednak być prosto sobą t. j. młodym i wesołym chłopcem, ba nawet w skrytości ducha i w tajemnicy przed »cierpieniami społeczeństwa«, wiecznie zawieszonemi na języku, nawet wierszyki układać. Nie traciło nic a nic na tem społeczeństwo,

nie zyskiwała poezya, ale wspomnienia o tych wierszykach są dla mnie jakieś rzeźwiące, niby wspomnienia o kwiatkach leśnych wśród głębokiej zimy. Pamiętam szczególnie jeden sonecik w bardzo wesołej chwili ułożony.

Oto — noc. Ciepła letnia, w rosę i zapachy obfita, istna podolska noc, czarem uroków ziejąca i światłem księżycowem przesycona zagłada z parku przez otwarte drzwi i okna sali balowej. Z wendy dolatują pierwsze dźwięki skoczego mazura; w sali gwarno i wesoło, ach, jak wesoło! I jacy wszyscy ładni i dzielni mi się wydają. Rzecz dziwna, ci w życiu powszedniem i pojedynczo wzięci pospolici, mało inteligentni, podszarżani duchowo i materyalnie epigonowie, w sztucznej balowej atmosferze, w dobranem gronie robią jeszcze wrażenie niepospolite. Jest w nich coś rodowego i rasowego, jakaś wrodzona dystynkcyja a zarazem buta. Przez głu-



pie wybałuszone oczy lada młodzika przegląda jednak przeszłość kresowa, zbrojna, burzliwa i świetna, a w twarzy każdej paniutki odgadujesz krew gorącą, lotną fantazyę i temperament i od razu rozumiesz, że to potomkowie pokoleń, które żyły barwnie i zgiekliwie.

A oto, w jednej z pierwszych par płynie typowa podolanka z koroną włosów jasnych na głowie, z urokiem zwycięskim młodości i krasy w całej kształtnej postawie. Boże, jaka siła, jaki wdzięk bije od tej dziewczyny! Taka ona cała śliczna, że się wprost dusza raduje, na nią patrząc, najcieńsza zgryzota ustąpi i świat się wyda weselszy. Tak sobie myślę, stojąc we drzwiach bocznych z miną pozującą na złośliwość, a w rzeczywistości pokrywającą zakłopotanie, jakie mi sprawia niezgrabny frak, buntowniczy kołnierzyk ciągle się odpinający i fatalna niezręczność w tańcu.

Byłem bo zawsze tancerzem hanie-

bnym. Wtem, coś mnie zlekka dotyka, słyszę ciche przeprosiny i przedemną staje, chcąc wyjść z sali, gdzie nie ma nadziei zdobyć tancerza, jedna z nieszcześliwych paniutek, ofiar balowych przeznaczonych do garniowania mebli i kompletowania kontredansa. Pochodzi to widocznie z rasy »ubogich krewnych«, ma cerę jakąś niedomytą, toaletę bardzo pstrą, włosy śmiesznie uczesane w krótki warkoczyk, usta zesnurowane ciągłą przesadą, w oczach wyraz lęku, ale zarazem jaką ochotę, jaką szczerą ochotę do tańca, obok zupełnego zwątpienia co do możliwości spełnienia tych życzeń. Odgadujesz łatwo, że oto leci gdzieś w najdalszy kąt i będzie tam płakać z rozpacz i pocieszać się nadzieją, że może ją chociaż po kolacyi, chociażby do figury wybiorą. Nagle decyduję się i zapraszam »ubogą krewną« do mazura. Błysk radości rozświecający jej nieładną twarzyczkę odbija się w mojem

usposobieniu, wpadam w doskonały humor, nie uważam wcale na bardzo głośne komentarze o moim zabawnym tańcu, nie martwi mnie zupełny rozbrat pomiędzy taktem muzyki, a moimi podrygami, ani żenuje strofowanie wodzireja, któremu wciąż płączemy figury, odbijając się jak kula od innych par. Nasza wesołość powoli udziela się innym. Zwija się i rozwija taneczne koło, w przegu widzimy siwe głowy wiwatujące kielichami, mamy i ciocie, porwane wirami uciechy szczerzej, śmieją się radośnie, zapomniawszy o wszelkich plotkach i kombinacjach. Ej dziś, dziś, jutro nic!!... Jakaś biała łapka ujmuje mnie za rękę i wyciąga do figury. To »ona« ta cudna dziewczyna, którą tak podziwiał od progu. Modre oczy patrzą na mnie z niekłamaną sympatią, a różowe usta szepczą »jaki pan dobry, jaki pan poczciwy, że naszą Jadzię zaprosił, ona taka zwykle biedna«...

Słucham, patrzę na nią i patrzę, w głowie już układa mi się jakiś sonet do tej złotej dziewczynki, coś w rodzaju: »Dzieweczka moja ma włosy złote, oczęta modre, usta różowe, przed jej stopkami pyłki zamię, promieniem światła ozdobię głowę«, mimowoli chylę korne wejście do jej stóp, i widzę jak moja lewa noga, wyrabia jakieś nadzwyczajne, zupełnie niemożliwe kroki i czuję, jak kołnierzyk ostatecznie się zbuntował. Ale nic to, oboje parskamy śmiechem, otrzymuję miękki uścisk dłoni a tu muzyka z fałszywym akordem, ale z zawadyacką ochotą ciągnie »poleciała przepióreczka w proso, a ja za nią nieboraczek boso«. Oj, poleciała, poleciała, i gdzieżeś ty dziś, moja przepióreczko, gdzie twoja wesołość cudna, gdzie twój śmiech uroczy i wiele ci już włosów złotych ubieliły zawody życiowe?

\* \* \*

Potem życie moje zaczyna szarzeć. Ciężka praca, karyera, trudne warunki gromadzą wkoło mnie mgły zewnętrzne, a znów propaganda trzeźwości, nietylko brak, ale tendencyjny wstyd ideałów, obok zaraźliwych frazesów o społeczeństwie, epidemia pospolitości duchowej, proklamowana jako katechizm polityczny — oto szare obłoki przesłaniające wewnętrzne widnokreśli mego ducha. Wśród nich każde żywsze uczucie, każdy polot fantazyi ginie bez śladu niby iskiereki, nie mogąc trwalszego rozniecić płomienia. Życie naszego pokolenia w tym, jakeśmy lubili z dumą powtarzać »wieku pary«, było w rzeczy samej podobne do parowozów, stąd, że ujęte w żelazne klamry obowiązku i pchane potężną siłą naprzód, nie mogło zbaczać ani na prawo ani na lewo, ciskając jeno w przelocie marne uczuć iskiereki.

Nie znam bardziej pobudzającego do melancholii widoku, jak widok iskie-

migających nocną porą przed oknami wagonu, może dla tej analogii, a może dla pewnych wiążących się z niemi wspomnień o mojem pierwszym, zresztą całkiem nieudanem, wyznaniu miłosnem.

Mój Boże, któż z nas na sumieniu nie ma tej śmiesznej sceny, która się nazywa pierwszym wyznaniem, a która zazwyczaj się nie udaje z powodu braku wprawy, ze zbytnej nieśmiałości lub zbytnej afektacyi, lub zgoła z rozmaitych innych powodów. Nie udała się więc ona i mnie, ale bardzo charakterystycznie z powodu »społeczeństwa«.

Było to pamiętam, jakoś zaraz po zupełnem ukończeniu szkół, kiedym się szykował zresztą z ochotą szczerą do ciężkiej pracy życiowej, kilka zaś ostatnich miesięcy spędziłem na wsi, w liczczem a bardzo wesołem towarzystwie.

Jak wiadomo, nasze wskazania życiowe zaczerpnięte ze samych »grubych żurnatów« (>Przełgdem« już naówczas

pogardzaliśmy) wzbraniały nam kochać się poprostu dla siebie, ale natomiast usilnie polecały propagować wśród młodych panien rozmaite »wyniki wiedzy«, jak się wówczas nazywało »rozwijać«. Wprawdzie, dzięki opornej a rzetelnej uczciwości szlacheckiej natury, owo »rozwijanie« w naszych stosunkach nigdy nie zachodziło tak daleko, jak gdzieindziej, ale natomiast tembardziej stawało się ono nudnem i bezcelowem.

Profesorowie nasi, kiedy prawili dziewczętom o Darwinie i Marksie, kiedy obalali, jak się wówczas mówiło »auto-rytety«, to wiedzieli że cały ten kram prowadzi w rzeczywistości jeno do celów fizyologicznych, my, małpując te manierey w naszych stosunkach, nie chcieliśmy miłości fizyologicznej, wstydziliśmy się zaś miłości uczciwej, a jeno zamiast zabawy urządaliśmy »piłę«.

Wykładałem więc i ja przez wakacje kilku paniątkom kursy »społecznictwa«.

Nie pamiętam, czy je to bawiło, wątpię jeszcze bardziej, czy cokolwiek z tego skorzystały, pamiętam natomiast, że ja wśród tych wszelakich rozpraw poprostu zakochałem się w jednej z moich słuchaczek. To jest właśnie, że nie zakochałem się poprostu, bo moje *ja* zakochane, było w zupełnej dyzharmonii z mojem *ja* rozumującym, z całą naszą filozofią życiową, która takich niespodzianek nie przewidywała. Wstydzilem się tedy mojego uczucia i dusilem je w sobie.

Przypadek zdarzył, że przed rozstaniem jechaliśmy razem z moją ówczesną ukochaną kilka stacyj koleją, a romantyczna ciocia nam towarzysząca, ostentacyjnie usunęła się do innego przedziału, ażeby »młodemu nie przeszkadzać«, a natomiast potem wypytywać ze skwapliwością, jak to oni sobie miłość wyznali, jak sobie przysięgali, i t. d. i t. d., wedle sentymentalnej re-



cepty dawnych dobrych czasów. Poczciwa ciocia, nie wiedziała, jak dalekimi są starodawne sposoby od »postępowych ludzi«. *Quantum mutatus ab illo.*

Pamiętam oto, jak siedząc we dwoje w ciemnym przedziale, przyglądamy się przez okno rozpedzonego wagonu długim smugom iskier, przerywanym mroki sierpniowego wieczoru. Migające ich blaski fantastycznie drgają na twarzyczce mojej towarzyszki, nadając jej wyraz nerwowego podrażnienia. Dusza mi się wrywa do tych oczu smutnych, do tych ust koralowych gorzko uśmiechniętych, do tej całej smukłej, a zarazem tak znużonej postaci, tak bym ją rad do serca przycisnął i uspokoił, ale jest coś, co nas dzieli i odpycha. To coś, to właśnie owo nieszczerne wyznanie, które od rana między nami wisi, jako nieunikniona konieczność, wagon wypełnia, rwie wątek rozmowy, myśli płacze, a jednak przez usta nie przechodzi.

Za chwilę rozchodzą się nasze drogi, ja zmierzam na północ, ona na południe, za chwilę przerwie się sielanka ostatnich kilku miesięcy, za chwilę zginie mi z przed oczu ukochana twarzyczka na długie lata, wiem to wszystko, czuję i rozumiem, a jednak waham się i nie śmiem rozmowy oczu w słowach wyrazić. Jest w tem wahaniu i nieco dumy szlachetnej, która nie chce w przedśionku twardego życia sięgać po miękką rękę posażnej panny, jest trochę zwyczajnej młodzieńczej nieśmiałości, ale przedewszystkiem jest obawa przed sobą samym, a raczej przed wrytym w umysł frazesem o konieczności poświęcenia »dla społeczeństwa, o całej niestosowności zwyczajnych uczuć ludzkich w sercu przyszłego działacza«.

— O czym Pan tak myśli? — zapytuje mnie smutna dziewczynka właśnie, gdy w duchu staram się wdrapać na

rzekomo bohaterski piedestał i przed samym sobą pozuję.

— Myślę — odzywam się z lodowatą powagą — coby Pani powiedzieć na pożegnanie.

Błysk ożywienia przebiega po znużonej twarzyczce, a może mi się tylko tak zdaje, bo smugi iskier coraz gęstsze i coraz dłuższe.

— To, że Panią kocham, — ciągnę dalej przesadnie spokojnym głosem — o tem Pani wie dobrze, że jednak nic z miłości naszej nie będzie, to jest pewnnik, z którym zgodzić się należy«.

Zdaje mi się, że zbladłe usta szepcą »dlaczego«, a może to tylko złudzenie. Pociąg pędzi, iskry sypią się coraz mocniej.

— Miłość osobista nie dla takich ludzi, jakim ja być chcę. Jest to uczucie przestarzałe, które z czasem musi zupełnie zaniknąć. Trzeba kochać społe-

czeństwo i starać się mu przynosić korzyść.

Tu sypie się dalej z ust moich cały szereg komunałów oklepanych, oślinionych i marnych niby drobny, dokuczliwy pył na schyloną jasną główkę.

Snuję dalej torem ubitym moje kazanie, a w głowie świta mi myśl szalona: że to moje »społeczeństwo« tembardziej zachwyci moją towarzyszkę, że w uznaniu dla wielkości mego ducha, wzniesie się ku mnie miłośnie jasna główka, miękkie ramiona obejmą mi szyję, a usta szeptać będą »jedyny mój kocham Cię kocham i nie oddam nikomu«. Już, już przeczuwam tę chwilę, dreszcz rozkoszy wstrząsa mną a słowa w gardle więzną. Główka rzeczywiście się wznosi, a ja pomimo tylko co wygłoszonych bohaterskich frazesów czuję okropny wstyd i nie śmiem jej w oczy spojrzeć. Widzę tylko słabe odbicie w ciemnej szybie wagonu drżącej twarzyczki,

która usiłuje powstrzymać łzy i słyszę nerwowy głos »ale któż Pana chce zabierać społeczeństwu, nikt do Pana nie ma pretensyi, bądź Pan sobie«...

Ostry świst lokomotywy przerywa tę ciężką scenę i wstrzymuje moją odpowiedź. Pociąg zwalnia biegu, iskry już się nie syją...

Odtąd nieraz, gdy wpatrzę się wśród długich, samotnych podróży we wstęgę iskier promienną, staje mi przed oczyma blada zmęczona twarzyczka i zdaje się zapytywać »pocoś ty to zrobił, poco sobie i mnie zamiast rzeźwiącej chwili młodzieńczej miłości zgotowałeś płaską i marną scenę, tandetną ilustrację społeczeństwa?« Ba, po co?

\* \* \*

Zresztą w inwentarzu moich wspomnień uczuciowych »społeczeństwo« nie zawsze grało tak surową rolę. Owszem, nie jedną chwilę powodzenia u kobiet

zawdzięczam tym gawędom i raz nawet omal że się we mnie nie zakochała młoda panienka od pierwszego wejrzenia. Co prawda byłem już wówczas znacznie starszy i daleko lepiej umiałem o społeczeństwie rozprawiać.

Jechałem wówczas ze stolicy z »dobrą nowiną«, jedną z tych, których tak łaknie nasz ogół i które dzięki temu, chociaż się nigdy nie sprawdzają, zawsze na nowo znajdują posłuch i wiarę. Otóż wypadło mi zatrzymać się po drodze i, nie mając co robić w obcym mieście, poszedłem w odwiedziny do jednego z dawnych naszych znajomych. Wiedziałem, że ma on tam jakąś córkę, którą jedna z moich ciotek z obowiązku nawet zalecała mi na dozgonną towarzyszkę, ale jak to sobie przypominam, ciągnęła mnie daleko bardziej specjalnie polska swierzbiączka udzielenia »dobrej nowiny«. Po nieskończeniu długich i nieskończeniu głupich poszukiwaniach

w nieznanem mieście, gdzie każdy za-  
pytywany przechodzień przedewszyst-  
kiem dziwi się, jak możesz nie wiedzieć,  
którędy się idzie na taką a taką ulicę,  
dotarłem wreszcie do ubogiego mie-  
szkanka, gdzie prostota sprzętów za-  
bawnie się sprzeczała z wyborem ro-  
bótek szydełkowych, kanwowych i t. p.  
snać pracowicie wykończanych przez  
domowe panny. W chłodnej a puste-  
j salce zabawiał mnie niewielki, zgarbiony  
łysawy staruszek, wypytyjąc o rodzinę  
i o zajęcie i zapewne z zakłopotaniem  
myślał o czem on będzie dalej mówić,  
gdy wszelkie buletyny rodzinne i zdro-  
wotne będą wzajemnie zakomunikowane.  
Uwolniłem go od tego kłopotu, opo-  
wiedziawszy »nowinę« zrazu sucho, o-  
gólnikowo, ale w miarę, jak się rozgrze-  
wał, z coraz większymi i żywszymi  
szczegółami.

Wkrótce, w opowiadaniu mojem  
ziarnko informacji autentycznej pomie-

szało się z domysłami zrazu osób trze-  
cich, następnie moimi własnymi, a wre-  
szcie wszystko to razem wypłynęło na  
wielkie morze hipotez. Gospodarz mój  
zrazu oponował i nie dowierzał, ale  
i jego w końcu porwał wir fantazyi  
i wspólnie już pędziliśmy przez pustą  
i marną terażniejszość ku złudzeniom  
przyszłości.

Powoli i zupełnie szczerze zaczęło mi  
się wydawać, iż moje gorące życzenia,  
ażeby być nietylko zwiastunem lecz  
również i sprawcą chociażby w naj-  
drobniejszej części »dobrej nowiny«,  
spełnią się niewątpliwie, że oto już już  
spełniają się i że ja nietylko rozpra-  
wiam, ale nawet już robić coś zaczy-  
nam. Słuchacze moi snać również prze-  
niknięci byli tem samem tak pochlebnem  
dla mnie przeświadczeniem. Wydawało  
im się zapewne, że ten młody człowiek  
szastający się zapalczywie po ich salce  
i raz po raz zrzucający jakąś włóczkową



robótkę, że jest on robotnikiem przeszłości.

Czytałem te myśli w ożywionych oczach niewielkiej szczupłej blondyneczki, która się całkowicie wychyliła z po za pызatego samowara i z całej duszy zdawała się życzyć powodzenia moim projektom i urzeczywistnienia moim fantazyom. Właściwie nic w niej nie było ładnego oprócz oczu, ale w drobnej figurce owiniętej w ciemną ubogą sukienkę uwydatniało się takie pogńębienie w terażniejszości, a w wyrazie oczu tak gorące pożądanie lepszej przyszłości, tyle potężnej a zarazem naiwnej nadziei, iż była ona jakby żywą ilustracją naszej rozmowy. Wyraz rozmarzenia i rzewnej tęsknoty za lepszym jutrem rozlewał się powoli na jej twarzy i odczytywałeś z łatwością jak w rozkołysanej duszyczce do obrazów ogólnego szczęścia czepiał się uporczywie wymarzony obraz młodzieńca, który o to

szczęście walczył, a na razie ucieleśniał się w tym niezwycajnym gościu, który w przelocie do ich kąta zaglądnął i dobrą nowinę przyniósł. Pożegnaliśmy się jakoś bardzo rzewnie i serdecznie. Szedłem po skrzypiącym śniegu i ucuwiałem wielkie zadowolenie z wieczoru, w czasie którego sam sobie bardzo się w tej bohaterskiej roli podobałem i trochę wstydu za mimowolną błagę. Ale wstyd ów zamykałem w jaknajdalszym kącie duszy i, kołyszając się na miękkiej ławce wagonu przyjemnie myślałem, jak to teraz marzy błada dziewczynka o robotniku bożym spieszącym wśród śnieżnej zawiei na stanowisko. Nie widziałem jej potem nigdy, pamiętam tylko, że wkrótce otrzymałem dość zgryźliwy list od ciotki, oskarżający mnie o wyrażną złą wolę, bo gdy mi ową blondyneczkę raiła, tom ani chciał słyszeć, a obecnie z nią, jak ona znów słyszała, żenię się, podczas gdy ciotka właśnie

wynalazła dla mnie inną pannę, która i t. d. Odtąd, ile razy rozgadał się o przyszłości ogólnej, staje mi przed oczyma obraz biednej bladej, rozmarzonej dziewczeczki, trochę niby wspomnienie senne, a trochę i jako wyrzut za tę wieczną niezgodę pomiędzy słowem i czynem, za przepaść między naszą prawdziwą dość marną indywidualnością męską i tą, na jaką pozujemy w imię ideałów, przepaść, którą jeno miłość gorąca wypełnić może.

\*       \*       \*

Zresztą, mówiąc szczerze, czego się tu tak bardzo wstydzic. Na całym świecie mężczyźni próbują zawsze przed kobietami błagować, a że nasze kobiety łatwiej się biorą na błagę o ideałach, niż na błagę o dochodach, to tylko świadczy na ich korzyść.

Mogę to potwierdzić z własnego doświadczenia, gdyż od czasu, jak prze-

stałem rozprawiać o ideałach, a od kiedy zaczęto rozprawiać o moich dochodach, mniej daleko mam powodzenia u młodych pań i panien, pomimo rozmaitych awansów przyjaznych ze strony matek i ciotek. Może to zresztą naturalny skutek wieku.

Wspominać o tych awansach nie myślę, tak jak i nie myślę wspominać o dziesiątkach rozmaitych Magdalen, które przeszły przez moje ręce, bez żadnego silniejszego wrażenia. Nie pozowałem nigdy na moralistę, więc nigdy mi nie przychodziło do głowy szukać duszy, gdzie było tylko ciało, lub ofiarowywać duszę, kiedy żądano tylko portmonetki.

Z takim usposobieniem, naturalnie, że się nigdy ożenić nie mogłem. Bez uczucia nie rozumiałem małżeństwa, a ani sam zakochać się, ani wzbudzić miłości nie umiałem. I ta głęboko zakorzeniona potrzeba uczuć idealniejszych

obok nieudolności wcielenia tychże uczuć w życie jest charakterystyczną cechą mojego pokolenia, które przed 20 laty przechodziło swoje »*Sturm und Drang Periode*«.

W kwestyach uczuciowych ujawnia się niemal w każdym z moich współczesników mały Hamlet, tylko Hamlet jakiś inny, nie z tragedyi ale z komeydi, bodaj z farsy. Nasze albowiem zawody i cierpienia miłosne, nasze tęsknoty są, prawdę mówiąc, bardzo płytkie i dla tego raczej śmieszne, niż bolesne. Bolesną w tem wszystkim jest chyba owa powszechność uczuciowej nieudolności, która, jak szare, ponure tło podkłada się pod krajobraz duchowy całego pokolenia ludzi w części zmarnowanych lub marniejących.

Bo jednak, my jesteśmy nieco zmarnowani. Źle jest, gdy jak u bohatera «Bez Dogmatu» wszelkie zasoby duchowe w jedno krzywe drzewo wielkiej

choć niezdrowej miłości wyrastają, ale nie jest dobrze, gdy zdolność ukochania, jaką każdy z nas na świat przyniósł, ginie, nie wydawszy ani krzewu ani owocu.

Może się mylę, ale tę naszą nieudolność tłumaczę sobie tak. Zdolność do miłości wymaga takiej samej kultury, jak każda zdolność człowieka cywilizowanego. Nie dość chcieć i móż, trzeba umieć kochać. Zazwyczaj uczy nas tego życie samo, ale trzeba, ażeby w tem życiu były warunki i prądy tej kultury sprzyjające. Tak u nas dawniej bywało i stosownie do tego jaka była temperatura społeczna, widzimy w życiu albo staropolskie »raz się tylko kocha«, albo »romanse salonowe XVIII. wieku«, albo donjuaneryę początków XIX, albo szlchetny idealizm uczuciowy naszych ojców. Tymczasem w jakich to czasach żyć nam przyszło? Na nasze młode umysły i serca posypał

się gorący popiół pustych frazesów, o trzeźwości, realizmie i piasek abstrakcji o społeczeństwie, właśnie wtedy, gdy w młodych po raz pierwszy budzi się serce. To też wstydziliśmy się, i zapierali, i wyśmiewali i tłumili wszelkie kochanie, ofiarując się natomiast na całopalenie dziwacznie pojętemu społeczeństwu. Wielu się w rzeczy samej spaliło, a niemal wszystkim pozostała po tej całej kąpieli na sercu rdza.

Nie przeszkodziło to nam zostać dobrymi zawodowcami, energicznymi pracownikami i w ogóle dzielnymi ludźmi, ale przeszkodziło nam na zawsze kochać z tą stałością i czcią, z tą tkliwością i mocą do jakiej ojcowie zdolni byli. Zmysłu tego dobrowolnie zatraconego w młodości nie powróci nam nic, jak nie powróci nic — pierwszej wiary.

Słowa te stosuję tylko do nas, do pokolenia moich rówieśników. Miłość idealna, miłość czysta a silna jest taką

pierwszorzędną potęgą w życiu społecznym, iż obudzić się w niem na nowo musi, wbrew naszej nieudolności i wbrew zbytnej już zdolności, na którą zdają się chorować, przychodzący po nas naśladowcy romansideł francuskich w czynie. Będą się ludzie kochać i będą się zacie i szczęśliwie kochać, bo na tem stoi świat.

Tylko, że to już nie dla nas.

Znamy wszyscy cudowny wierszyk Heinego o tem jak, śniegiem przyprószonej wśród surowych granitów wyrosła jodła marzy o palmie zielonej, o ciepłym słońcu południa, o niebie błękitnym i powietrznych przeźrocach. Wierszyk ten maluje doskonale nasz stan duchowy. Wśród pomroki życiowej, wśród chłodnych porywów przeciwnego wichru, wśród śnieżnej niechęć zawiei, lubimy myśleć o cichym kącie rodzinnym, o uczuciach gorących, o pełni cichego szczęścia. Wiemy, że

myśli te są płonne, ale nie przeszkadza to nam mocno na swym twardym gruncie stać, nawet wzrastać i czoło wichrom stawić i... śnić o palmie. Takie sny mięwam czasem i ja, ale ich nie opowiem, bo dla innych byłyby śmieszne, dla mnie zaś naturalne a konieczne z nich przebudzenie bywa jednak bolesne. Nie darmo napisałem w swoim soneciku: »Nie powiem o tem, com widział we śnie, bo choć to tylko są senne złudy, jednak się zbudzić było boleśnie, by znów rozpocząć życiowe trudy«. A oto już dzień przez szyby się wciska i pora owe »trudy« rozpocząć.



## OŚWIADCZYNY

— Panno Wando — zapytałem bez myśli — a co będzie dzisiaj na kolację?

Dziewczyna rozśmiała się serdecznie i odrzekła:

— Ponieważ jestem, jak ciocia powiada, łaskawą królowną, więc z góry wynagradzając trudy wiosłowania, zaleciłam pańskie ulubione potrawy.

Zazwyczaj nie znoszę śmiechu panieńskiego, zawsze bowiem jest on tendencyjny i ma pretensje do uwydatniania rozmaitych poruszeń panieńskiej duszy; panna Wanda wszakże miała jakiś szczerzy i wdzięczny rodzaj śmiechu; to też wpadając w ton mojej wesołej towarzyszki, zauważyłem:

— Rola łaskawej królowny, czy wróżki, może się pani nie udać, bo ja ni-

gdy nie zdradzam moich gustów — nawet jadalnych.

— Proszę! Takież to nadzwyczajny sfinks z pana? A jednak jabym pana z łatwością odgadła.

— No, więc co ja myślę?

— Wiem, ale nie powiem, bo nie-warto.

Dość banalne to przekomarzenie się zwróciło moją uwagę w kierunku słów ostatnich. Ba, a co to ja takiego w samej rzeczy myślę, o czym ona niechce mówić, no myślę, myślę o kolacyi, o łódce i...

Szliśmy przez wydeptane i zeschnięte rżysko. Dokoła otaczała nas zwolna noc ciemna, jesienna, której ciszy nie prze-rywa żadne echo, żaden szelest.

Na niebie zwolna, jakby leniwo, zapalały się gwiazdy. Wśród tej pustki i ciszy właściwie jedynym przedmiotem, o którym warto było myśleć, była moja towarzyszka. Mimowoli spojrziałem na

nią uważniej; ożywiona zazwyczaj twarzyczka nabrała w tym pohurym mroku jesiennym jakby melancholijnego wyrazu; tylko ciemne oczy zdawały się błyszczeć i nawpół znacząco, nawpół figlarnie na mnie spojierać.

»No przyznaj się, przyznaj, mówiło to spojrzenie, że myślisz o mnie«. Ja jednak postanowiłem się nie przyznawać.

— Kobiety, a zwłaszcza młode dziewczę — rzekłem tonem, który miał pre- tensję do ironii — posiadają, podobno, dar przecucia, ułatwiający im odgady- wanie cudzych myśli, tylko zdaniem mo- jem nie jestto dar szczęśliwy.

— Dlaczego? i dlaczego pan mnie tak uroczyście przestrzegasz?

— Widzi pani, zgadnąć i przecuć to nie sztuka, ale sztuka się dowiedzieć, bo to wymaga wyznania, a wymuszone wyznanie...

— Panie, panie, coś pan się płaczesz? W rzeczy samej płątałem się, bo mi

przeszkadzały oczy. Ach! te oczy, te oczy.

Tak płacząc się, bo te wszystkie przecucia, uczucia, wyznania, cały ten słowem balast, jest mi obcy i nieznany.

Wybuchnęła znowu szczerym śmiechem.

— Ach panie! czyż tego trzeba się uczyć?

— To nie — odrzekłem z niecierpliwością — a raz doświadczywszy, potrzeba się potem strzedz.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Co ja plotę, co ja plotę — oburzałem się na siebie w duchu, ale te oczy, te oczy, to one mi przeszkadzają.

Szliśmy przez kilka chwil w milczeniu, zasłuchani w tę ciszę i zapatrzeni w gwiazdy; powoli uspakajałem się.

— Widzi pani — odezwałem się już zwyczajnym głosem — ja bo trzymam się zasady Heinego, której zresztą sam poeta bynajmniej nie przestrzegał: »że

kochać się po dwa razy mogą tylko wielcy durnie».

— Zaciekawiasz mnie pan, bo jeżeli tak strasznym jest ten drugi raz, więc jakież był pierwszy?

— Historia bynajmniej nie ciekawa, panno Wando — odrzekłem, odzyskując swobodę. My teraz nietylko dwa razy, ale i raz kochać się nie umiemy. Serce zjada nam rdza życia, a na szarem tle codziennej troski uczucia nasze wra-  
stają jak mizerne źdźbła, a nie jak kwiat wspaniały. Nie znamy ani wielkich bólów, ani wielkiego szczęścia. Ot widzi pani:

Niestety, życie — jak szklanna bańka,  
Tak mija wielkość złudzeń, zabawa;  
Toczy się pieniądz, zdradza kochanka,  
Miłość przemija i stygnie kawa.

— No nam to zdaje się stygnie koc-  
lacya a nie kawa — zauważyła wesoło.  
Ale coś mi szepcze że pan pozuje.



— Bo i prawda — pomyślałem. A jednak ta dziewczyna rzeczywiście posiada doskonale przecucie.

Powtórzyłem tę uwagę głośno.

— Panie — odrzekła prędko — więc dlaczego pan to robi, dlaczego się pan otacza jakimś łachmanem przeżycia, tak że pod nim trudno prawdziwego pana dojrzeć, a chyba przeczuć potrzeba.

— Dlaczego ja to robię... dlaczego ja to robię? Ot, bo mi źle na świecie.

Weszliśmy w milczeniu do parku pod sklepienie wysokich starych drzew na wąską ścieżkę.

Ach wązkie ścieżki, ach te wązkie, zdradne ścieżki, czy ja wiem gdzie one wiodą? Wiem tylko, że mi i źle i dobrze, że jakaś nieskończona głęboka rzewność opanowuje mi serce i wiem, że oto ona tuż przy mnie.

— Panno Wando — odezwałem się — mam do pani jedną bardzo śmieszna prośbę. Oto widzi pani ja jestem trochę

przesądny, więc niech mi pani da rękę na szczęście. Może wreszcie i do mnie ono...

Podąła mi żywo rękę.

— Z całej duszy, z całego serca życząc panu szczęścia — rzekła bardzo wzruszonym i cichym głosem.

Pochyliłem się i przycisnąłem jej rękę do ust. Przebiegł po mnie niby prąd magnetyczny. »Lecz się kochać po dwa razy mogą tylko wiecy durnie«, przeleciało mi jak błyskawica przez głowę. Ech, miejmy odwagę być niemądrymi, jeżeli w tem szczęście się zawiera.

Nad głowami naszymi szumiały stare drzewa, jakby dziwiąc się wiecznym ludzkim złudzeniom. Ech, co mnie jakież głupie drzewa obchodzą, gdy oto trzymam rękę ukochanej w moim ręku, gdy słyszę niemal jej serca bicie, gdy czuję, jak fala uczuć wzbiera w moim sercu.

— Panno Wando, Wandziu ukocha-

na moja, — mówiłem bez sensu zdławionym głosem — daj mi tę rękę na życie całe, a jakiegoż mi więcej szczęścia potrzeba. Ja cię kochać będę życie całe, pójdziemy razem połączeni, i przesunął mi się refleksyjnie w myśli odwieczny wierszyk:

O mój aniele, pójdziem połączeni  
Przez świat i życie, ciernie i boleści.

— No — pomyślałem — jeżeli nawet oświadczyć się nie potrafię po ludzku, tylko po literacku, to... ale tłumiąc głos kwaśnego pesymizmu, dodałem:

— A czy mnie kochasz choć trochę?

— Czy ja cię kocham? — szepnęła, wznosząc ku mnie rozmarzone oczy.

Ach! gdzież ja to słyszałem, gdzie ja to słyszałem? aha »czy Maryja ciebie kocha«. Jakie to jednakże wszystko płaskie; myślałem z niechęcią, idąc i nie wiedząc co mówić. A jednak była to też sama dziewczyna, która mi się przed

chwilą wydawała cudną jak marzenie, jak ideał. A teraz zdawało mi się pociemku, że jej stanik jest krzywo włożony i że to rozmarzenie jest w gruncie rzeczy tylko głupie. Ach, podłe plemie, oburzałem się na siebie, które nawet w takiej chwili czuć naturalnie nie może; ale pocom ja w to wlaź, pocom wlaź?

Nad nami mignęła i zgasła gwiazda spadająca.

Maż i dla mnie zgasnąć na zawsze ta jedyna chwila szczęścia, a potem czeka mnie tylko smutne szare życie, takie jak to niebo jesienne?

— Wiesz — szepnęła mi — że nim gwiazda zgasła, zdołałam pomyśleć, że będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi.

Ach prawda, to odtąd my mamy być »razem« szczęśliwi. No, jakże to ja, który nieraz widoku ludzkiego nie znoszę, a tu masz »razem szczęśliwi«. A no bądźmy szczęśliwi! Zblizaliśmy się do

dworu. Przez otwarte drzwi biło ku nam z salonu światło i płynęła dziarska nuta, mazurowa, wygrywana zapalczywie choć nie arcy-wprawnie.

— Mama idzie — szepnęła panna Wanda, odsuwając się odemnie na przyzwrotną odległość.

Prawda, że to jest jeszcze mama, papa, oświadczyły, możliwość odkosza, rozmaite kłopoty... aj — aj otom sobie napytał!

— Państwo tak długo bawili na łódce — rzekła dziwnym jakimś głosem (mamy mówiące po ciemku do córek mają również dziwne głosy) zwykle bardzo dobroduszna mama — że byłam niepokojna. Wandzia mogła się przeziębicić.

— Bogać tam przeziębicić — zauważyłem w duchu,

Poleciała przepióreczka w proso,  
A ja za nią, nieboraczek, boso.

brzmiał fortepian.

Oj — tak, mimowoli przyspiewując w takt, myślałem: w proso jak w proso, ale na rzekę, a już to ze mnie istny nieboraczek, bo to nietylko »boso« ale i »goło«.

Zapomniałem pani matki spytać,  
Czy pozwolił przepióreczkę schwytać.

Oj zapomniałem i dobrze mi tak. Pozwoli — źle, nie pozwoli — jeszcze gorzej. Oj nie pozwoli — przypuszczałem — patrząc na ciemną sylwetkę najzaczniejszej »pani matki«, która mi się teraz wydawała daczegoś złowrogą w swym czarnym szalu.

— A my pana czekamy, czekamy — mówił mi ode drzwi papa — przyjechali pan Jan i pan Konstanty, wint panie dobrodzieju kapitalny, a tu jak niema tak niema. Pan Konstanty już z rozpaczy siadł do fortepianu i rżnie mazury. Na głos — peda — przyjdą.

Bodajeś ty z twoim wintem i ty z twoim mazurem — przeklinałem w duchu — ale prawda, wszakże to mój ewentualny teść, trzeba więc z nim grać uważnie i nie zważać na bąki, jakie ciągle ma zwyczaj strzelać, myślałem, tasując karty.

— Życzę panu szczęścia — rzekła panna Wanda, przechodząc do dalszych pokoi.

— Coś ona zanadto temi życzeniami szafuje — grymasiłem na stronie, a pan Konstanty rozwlekle prawił:

— Nie należy, panno Wando, dobrodziko, nie należy, bo to młodemu trzeba szczęścia w czem innem. A wiadomo, że kto w karty szczęśliwy, ten... A ot ja tymczasem *bez atu*.

— *Pas* — mruknałem ze złością, bo mnie irytował ten szlachcic ze swymi odwiecznymi konceptami, a i w kartach żadnej nie miałem figury.

Z sali jadalnej dolatywał nas brzęk talerzy. Czy choć w samej rzeczy będą na kolację moje ulubione potrawy, pomyślałem?...



POWRÓT DZIEDZICA

Był wczesny poranek zimowy. Na zbałwanionym śniegu wschodzące słońce układało fantastyczne blaski i cienie. Nędzne chłopskie szkapy wlokły się przez zaspy śnieżne noga za nogą, pomimo ciągłego szarpania lejcami i nieustannych słów zachęty. Woźnica, w wyszarzanej opończy i podartym kożuchu kulił się od zimna, walcząc nieustannie z walizką kolejową, tłukącą go po nogach, i ćmiąc dla fantazyi dziwnego papierosa z bibuły, zamiast tradycyjnej chłopskiej lulki. Na krańcu zamglonego przez zamieć widnokręgu, pod smutnem, bladem niebem majaczyła moja rodzina, wioska niewidziana od lat kilku. Było mi zimno, nudno i nieswojsko.

Zwyczajny krajobraz wołyński zdawał

mi się obcym i nieznanym. Horyzont, na którym we wspomnieniach widziałem nieistniejące obecnie lasy, był jakiś rozleglejszy; wieś natomiast, wtulona w zaśnieżone ramy, jakby zawinięta w białą oponę, zdawałoby się znędzniała i zmaląła.

Przed kilku laty, po śmierci rodziców, stałem się nominalnym właścicielem tego kawałka ziemi, odłużonego ponad wartość, zniszczonego i, jak dla mnie, mieszczycha z powołania i usposobień, mającego znaczenie tylko ilustracyi do zasad. Tyle bo napisałem wymownych artykułów o konieczności trzymania się ziemi, tak ostro oburzałem się publicznie na »frymarki poznańskie«, że mi wprost niewypadało przystąpić do likwidacyi tego skrawka fortuny ojczystej. Zresztą i sprzedać nie było komu. Więc wierzyciele chętnie przystąpili do układow, bank przyznał jakieś ulgi, ułożono częściowe wypłaty długów, znalazł się

wreszcie jakiś dzierżawca, i tymczasowo wszystko się połątało.

Mówiąc szczerze, moja »akcja ratunkowa« polegała na biernem przyjmowaniu warunków przez konieczność narzucanych; to też na wsi uważano takie postępowanie za bardzo naturalne, natomiast miejscy przyjaciele sławili moją bezinteresowność w ocaleniu dziedzictwa i pasowali mnie na rycerza w walce »o kawał ziemi«.

Z dziedzictwa tedy ciągnąłem w mieście jeżeli nie materyalne, to moralne korzyści, doświadczywszy zaś współczesnych rozkoszy wiejskich, nie tękniałem za niemi bynajmniej. Tak szło przez lat kilka.

Było jednakże widać sądzono, że zamiast pisać o wiejskich interesach, będą znowu zmuszony osobiście nimi się zająć. Dzierżawca zawiadomił mnie, że, z powodu strat, nie może wypłacić w terminie oznaczonym tenuty i dzierżawy

na przyszły rok się rzeka; łaskawy sąsiad, pan marszałek, opiekujący się moimi interesami, doniósł, że innego dzierżawcy znaleźć nie może, że słowem przyjazd mój, i to natychmiastowy, jest konieczny. Ociągałem się o ile mogłem, wreszcie ugiąłem się przed tą koniecznością i, czując zgóry przedsmak interesów, traktowanych w wiejskim stylu (zasadzającym się na nieskończonym błędzeniu około wypłat pieniężnych i niewyczerpanem gadulstwie), zbliżałem się do ojczystych pieleszy.

Dwór wyglądał jak przygarbiony pod olbrzymią zaspą śnieżną na słomianym dachu. Śnieg z góry i śnieg z dołu, jakby się chciały połączyć i do reszty zagrzebać tradycyjne białe ściany, ganek na słupkach i okna nieproporcjonalnie wielkie wśród tych śnieżnych wałów.

Flegmatyczny mój woźnica okazał nagle wielką energię, i sanki w chwilowym zapędzie ominęły ganek, do któ-

rego dotarłem brnąc po pas. Drobnym wypadkiem w zupełności ochłodził moje rozrzewnienie, budzące się pomimowoli na widok rodzinnego domu. Zresztą, nic nie usposabiało do rzewnności. Na spotkanie nie zjawili się ani tradycyjny stary sługa, ani legendowy stary pies, bo podobno oba te rodzaje istot oddawna zaginęły, chociaż autorowie szlacheckich idyli, pono jeszcze, za przykładem Homera, dotychczas każą im witać powracających dziedziców. Przez chwilę tylko widziałem w sionkach głupowatą, czerwoną twarz chłopaka, który za moim przybyciem przerwał amatorskie rozdmuchiwanie samowara za pomocą podartego i zrudziałego buta i pogalopował w głąb domu, ukazując mi na pożegnanie brudne pięty. Samowar nielitościwie śwędził i dymił, nie myśląc, zdaje się, zakipieć, a natomiast darząc mnie niekoniecznie przyjemnym zapachem rzetelnego *fumus pa-*



*triac*. Rozebrałem się z miejskiego futerka, arcy-niewłaściwie wyglądającego wśród stosu kozuchów i burek, i wszedłem do pokojów, gdzie mnie przywitał wysoki i siwy starzec, jak się domyślałem, mój dzierżawca.

Nie znałem go. Umowę zawierał pan marszałek, na mocy plenipotencji, a ja przystałem na kandydata bez żadnej trudności, bo mi to w gruncie rzeczy było wszystko jedno, a mój dzierżawca miał być to człowiek ze wszechmiar szanowny i wykształcony. Z rozbicia majątkowego, które przydarzyło mu się jeszcze naówczas, gdy dobra szlacheckie ulegały nagłym katastrofom, zamiast grzęznąć na mieliznach jak obecnie, ocalał kilka tysięcy kapitału i kilkunastomorgową osadę na Podolu. Te kilka tysięcy stopniowo stracił na mojej dzierżawie, co zaś zrobił z ową osadą, nie wiedziałem. Korespondowaliśmy bardzo rzadko, wiedząc ałbowiem o stratach

mego dzierżawcy, pomimowoli uczuwałem pewne zaambarasowanie we wzajemnych stosunkach; on zaś parę razy zwracał się do mnie listownie li tylko po informację literackiej lub administracyjnej natury. Dziś przypatrywałem się mu ciekawie.

Był to piękny typ starej i szlacheckiej rasy kresowców. Siwa czupryna okalała twarz wielką, czerwoną, o łagodnym wyrazie, z obwisłymi wąsami. Ów skromny, w szary bajowy surdut odziany dzierżawca przypominałby nieco króla Jana, gdyby nie przygaście źrenice i ogólne wrażenie niezdecydowania i smutku.

— Zechciej pan łaskawie rozgościć się — mówił, prowadząc mnie do dawnego sypialnego pokoju rodziców — zostawiam pana ze wspomnieniami, a potem przystąpię do interesów.

To słowo: interesów, wymówił ze specjalnym nie to przyciskiem, ale skupieniem ducha, nieledwie nabożeń-

stwem — właściwem niektórym wieśniakom, strojącym się w sztuczną powagę, gdy rozpoczynają tak obce w gruncie rzeczy ich pocziwym naturom traktowanie spraw pieniężnych.

Zostałem tedy sam ze wspomnieniami. Nie płynęły one jak olbrzymia rzeka, pochłaniająca teraźniejszość i przyszłość, a sączyły się, jakby po kropli, z wysiłkiem umysłu i woli. I stałem oto ja, syn tej ziemi, wśród kątów, które moje przyjście na świat widziały — obcy, nieznany przechodzień. Ściany te nie przemówiły do mnie językiem wspomnień słonecznych, a stare pochylone i porysowane zdawały się skarżyć na swe opuszczenie i blizką zagładę. Zmieniło się też tutaj bardzo wiele, ale pono ja się najwięcej zmieniłem.

Napróżno usiłowałem, ujrawszy starą sofę, przypomnieć sobie jakąś scenę z dzieciństwa, czy szkolnych czasów; sofa ta uparcie nasuwała mi na myśl

jedynie arcy-niepochlebne dla siebie porównanie z wygodną otomanką w moim gabinecie. Było mi smutno i ciężko. Ach, myślałem, rozwiały nas wichry życia, jak liście błędne, i oto zszedł ze świata mój biedny, zapracowany ojciec, zaznawszy niewiele szczęścia, a dużo goryczy i zawodów. Obca ręka zamknęła ci powieki, obca ręka przysypała trumnę twą zimnym prochem tej ziemi, której trud całego życia poświęciłeś, bo syna o wiorst tysiące trzymało żelazne jarzmo obowiązku. Zszedłeś do grobu cicho, i oto dziś stoi przy twojem starém biurku tak gorąco ukochany i tak gorąco kochający syn, który nie umie czuć tak jak ty czułeś, do którego niczem nie przemawiają te kąty, gdzieś ty duszy swej cząstkę zostawił, i który z tą twoją ziemią ukochaną nie wie co zrobić, a jeżeli ją trzyma, to przez wmówiony w siebie nieledwie konwenanso-

wy obowiązek bierny, a nie przez czynną i gorącą miłość.

A cóżem ja winien — protestowałem w duchu, żem taki a nie inny, że rdza ciężkiej pracy na innym polu przegryzła moje serce, pozostawiwszy w głowie kilka hasel pustych i kilkadziesiąt abstrakcyi. Przecież popychano nas do pracy zawodowej, oburzano się na »pańskie« reminiscencye, zalecano wykształcenie fachowe, i otom ja fachowiec wykształcony, zawdzięczający wszystko samemu sobie i swej pracy. Czemuż więc mam chylić czoło wśród tych ścian rysujących się, ja, com z chylącej się ku zagładzie świątyni rodzinnej wyniósł palladium ideału. Ściany te — to grób, a »nie przystało nam«, jak niegdyś pisał nasz eksmistrz, »siedzieć na grobach i płakać«. Mamże więc na tym grobie wznieść krzyż, po umarłych pamiątkę, przekreśliwszy nim wiekową pracę pokoleń, mamże zerwać i tę słabą nitkę,

łączącą mnie z tradycją? I oburzałem się na tę logiczną konsekwencyę stosunków, i oburzałem się całą siłą nagle obudzonego uczucia na niemoc własną, i oburzałem się chłodnym, przywykłym do ścisłego rachunku umysłem, na swe uczuciowe porywy.

Ostrożne poruszenie klamką prze-rwało wątek mych myśli. Do pokoju wsunął się stary, przygarbiony żyd, dawny arendarz mojego ojca. Idąc od progu, kłaniał mi się z jakimś oczekiwaniem i pospiesznie dobywał z kieszeni grubą list.

— Jak się macie, Mendlu — rzekłem, poznając go odrazu — jeżeli myślicie robić ze mną jakie geszefty, to na nic, ja się tem nie zajmuję, a co to za list?

Tak uprzedzony Mendel nieco się stropił i jakby rozczarował. Było to jednak wrażenie przemijające.

— Nu — odrzekł, przyciskając brodę do piersi — Bogu dziękować ja

zdrów. Geszeftów to ja żadnych nie prowadzę, bo ja i stary, i teraz nie takie czasy. A ot pan marszałek wczoraj jechał na kolej do Kijowa i do pana ten list u mnie zostawił. Tak ja sam przyjechał, żeby pana obaczyć. Bo to ja wiem, że wielmożny pan nie na długo do nas.

— Skądżeż to wiecie?

— Nu, przecie wielmożny pan jest osoba. Inżynier, ja wiem. Ja od maleńkości zawsze mówił, że z pana będzie osoba. A mojego Icek pan pamięta?

— No pamiętam, a co on robi ten wasz Icek? — zapytałem od niechcienia, przeczuwając jakąś prośbę.

— Aj, aj, rzekł pospiesznie żyd, jakby chcąc rozproszyć moje obawy, on teraz osoba. On pojechał do Buchary, taj powoli, powoli został tam *podradczykiem*. Nawet jemu taką *furażkę* pozwolili nosić, żeby wszyscy wiedzieli, co on jest osoba. Un pisał, co jemu

tam dobrze, aj, aj, jak jemu dobrze, ja sam nie przeczytam, ale uradnik czytał *lubieżnyj papsza* — pisze — *przyjeżdżaj*. Pieniądzy przysłał, ale ja stary, gdzie mnie do niego. Nu tatko w grobie, mnie też na okopisko czas, nu a wielmożny pan w stolicy osoba, a Icek mój w Bucharze osoba. Bogu dziękować, Bogu dziękować.

To porównanie z jakimś Ickiem pomimowoli mnie ubodło i, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, zapytałem:

— No, a co tu słyhać?

— Nu, co ma być słyhać, powtórzył żyd, słyhać źle, i rozpoczął litanię, w której obok nazwisk dawnych moich przyjaciół i znajomych powtarzała się uparcie stała zwrotka — »zrujnowany, w długach po uszy, ledwo się trzyma« i t. d. Znużony tym jednostajnym potokiem szarej, pospolitej biedy, przerwałem starego Mendla, który w coraz większy zapał wpadał i coraz

częściej z żydowska się zachłystywał, za pytaniem: — No a marszałek?

— Marszałek, marszałek Bogu dziękować, jeszcze zaprzyszłoroczną pszenicę ma, i nic. Un sprzedał las i ma pieniądze, jemu dobrze.

— A czemuż tamtym nie pomaga?

— Ja wielmożnemu panu co powiem. Pomagać im, to na nic. Im pomagają nasze żydki na *geszeft*. Ale to nie dla niego. Un pan. A jakby co pomogło, toby on może dał, ale, że nic nie pomoże, to on nie daje. To mądry pan.

Stanął mi w oczach w tej chwili jak żywy zacny pan marszałek, ciągle ubolewający nad »tym nieszczęśliwym krajem«, gotów zawsze do rady, byle nie do czego innego, malujący wiecznie każdy interes w najczarniejszych kolorach i wciąż wybierający się »iść z torbami«. Przypomniało mi to ów list, porzucony na biurku i dotychczas, z powodu rozmowy z Mendlem, nie odczytany.

List nie zawiódł mego oczekiwania. Marszałek w najdosadniejszych barwach malował gwałtowność wierzycieli, którzy nie dostali umówionej na Nowy rok raty; zapowiadał natychmiastową sprzedaż majątku z powodu nieopłacenia należności bankowej, wzywał mnie natychmiast do Kijowa na kontrakty, gdzie mamy wspólnie poszukiwać nowego dzierżawcy, chociaż zgóry wątpił o dobrym skutku, »ponieważ w tym nieszczęśliwym kraju i w obecnych fatalnych czasach przyjdzie chyba wszystkim pójść z torbami«.

Wylew tego pesymizmu nie przeraził mnie bynajmniej. Znałem wszystkich moich wierzycieli, arcy pocziwych szlachciców, którzy prędzejby się zrekli należności, niżby mieli licytować dobra sąsiedzkie; wiedziałem, że nic łatwiejszego, jak wyprosić w banku kilkomiesięczną ulgę; z tem wszystkim projekt natychmiastowego wyjazdu do miasta

spodobał mi się odrazu. Tu, w tych śniegach, czułem się obcy i niedołążny, na miejskim bruku odzyskiwałem całą energię, toteż ratunek wsi w mieście trafiał mi do przekonania i do gustu. Chciałem także zadośćuczynić niewinnej zresztą słabostce p. marszałka, który, jakbym to już teraz widział, będzie z całym amatorem traktować z dziesiątkiem kłaniających mu się żydów-faktorów o dzierżawę mego majątku; będzie się popisywać przed bracią-szlachtą swymi kłopotami, unosić się nad moją szczęśliwą sytuacją człowieka, otrzymującego stałą miesięczną pensję, i rozpaczać publicznie »nad nieszczęśliwym krajem«. Prawie więc zupełnie zdecydowany na natychmiastowy wyjazd do Kijowa, przez jakiś atawizm szlachecki zapytałem:

— No, a wy Mendlu cobyście mnie radzili zrobić z majątkiem?

— Jaby panu radził, odparł z namy-

śłem żyd, biorąc na seryo funkcję radcy, tylokrotnie przy ojcu moim spełnianą, — jaby panu radził zostawić tego samego dzierżawcę. To nic, że on tenuty zgóry panu nie zapłaci, on jest porządny człowiek i dobry gospodarz, a jego córka to bardzo dobra panienka. Ona nieraz moje stare Chajkie kuruje, ona tu dzieciców uczy czytać, ona...

Potok tych pochwał żydowskich, rysujących mi arcyszablony typ wiejskiej dziewicy w »świętym muślinie«, z elementarzem w rękę, a buteleczką jakiejś mikstury w kieszeni, przerwany został przez znajomego mi już chłopaka, który wystąpił teraz w olbrzymich buciskach i dźwigał w obu rękach tacę ze śniadaniem. Cały czerwony, z zagryzioną wargą dolną i wpatrzony w brzęczące przy każdym poruszeniu talerze, młody ów dziedzic dawnej dworskiej służbistości był w wielkim kłopotcie, co mianowicie z tą tacą zrobić?

Wybawił go pan dzierżawca, który sam ujął i postawił tacę i, odprawiwszy chłopaka niedbałym poruszeniem dłoni, z pewnym wielkopańskim zacięciem, odezwał się do mnie temi słowy:

— Kazałem przygotować panu śniadanie, bo obiad, z powodu nieobecności mej córki, zapewne się opóźni. Mając zaś chwilę wolną, zechce pan bezwątpienia pomówić o naszych interesach.

Na wzmiankę interesów Mendel wysunął się za drzwi, a stary szlachcic zaczął mi wykładać swoje rachunki. Były one nadspodziewanie proste i nieskomplikowane. Mój zrujnowany dzierżawca nie miał żadnych szczególnych pretensyi, tenuta za rok zeszły była w całości zapłaconą, chodziło więc tylko o indemnizację jakiejś nowo-postawionej szopy i o odbiór inwentarzy gospodarskich wedle sporządzonego spisu. Termin wyprowadzenia się z domu mieszkalnego przypadał piętnastego marca,

zgadzał się wszakże wyprowadzić wcześniej, jak tylko stawi się ów nowy, bardzo jeszcze hypotetyczny dzierżawca.

Gdy mi to wszystko powiadał, od czasu do czasu przyciskając ręką rachunki, patrzyłem się w kąt, w sufit, błądziłem wzrokiem po pokoju i od czasu do czasu zatrzymywałem oko na wyniosłej choć przygarbionej postaci starego szlachcica.

Był w tych pochylonych a zawsze jeszcze potężnych barkach, jakby stworzonych do wylotów lub do skrzydeł husarskich, jakiś niemy wyrzut, jakaś skarga głucha, przemawiająca dobitniej od teatralnych załamywań rąk i krzykliwego patosu.

Zacząłem w myśli rachować. Z dość znacznej pensyi nie oszczędzałem nic, ale pożyczanie jakichś kilkuset, tysiąca rubli, bo tyle właśnie wynosiła roczna rata moich wierzycieli, nie stanowiło dla mnie żadnej trudności. Mogłem więc

usunąć ten szkopuł i dzierżawcę zostawić. Wprawdzie sprzeciwiałoby się to mojej dotychczasowej taktyce. My bo z ziemią kochaliśmy się bardzo zdaleka, ot jak małżeństwo z konieczności i przymusu. Nie wymagałem od niej nic i nawzajem nie dawałem nic, oprócz tytułu. Dogadzając zaś powyższemu planowi, wprowadzałbym potrzeby ziemi do zakresu moich spraw osobistych, co wcale nie odpowiadało moim zamiarom, ale widocznie atmosfera wiejska, z jej wyłącznym panowaniem ziemi nad człowiekiem, nawet i na mnie poczęła żarliwie oddziaływać.

Przedstawiłem więc moje projekty staremu dzierżawcy i prosiłem go, ażeby nadal zechciał się przy tej ziemi utrzymać.

Nie zdawał się tem bynajmniej zdziwiony, ale po krótkim namyśle odparł:

— Propozycja pańska czyni mi zaszczyt, ale jej tak odrazu przyjąć nie

mogę i muszę naprzód naradzić się z córką. To jest dziewczyna, która na interesach zna się bodaj lepiej odemnie, niech ona powie, chociaż wątpię, żeby przystała.

Dziewczyna ta zaczęła mnie nieco intrygować i zapytałem:

— W jakim wieku jest córka pana dobrodzieja?

— Ha, panie, młode to jeszcze bardzo, ale ot od maleńkości przy mnie przyuczyło się. Ciągłe ze mną, a ja ciągle z gospodarstwem, dziś ona mi rejestry prowadzi, ona robotnikom wypłaca, ona sprzedaje, ona kupuje.

Wszystko to było dla mnie arcy-niesmaczne.

— A czy nie miał pan więcej dzieci? — zapytałem bez myśli.

— Miałem panie, odrzekł, i chmura smutku przesunęła się mu po twarzy. Miałem panie, był chłopak zdolny i zanny. Tylko ot... powracająca fala.



Przypomniałem sobie. Nazwisko, które nosił mój dzierżawca, było wplątane w jednym z tych głęboko smutnych procesów politycznych, w których wiadomo czemu się więcej dziwić, czy obłąkaniu podsądnych, czy ich głębokiej naiwności i niedośwetu w zbrodniczych zamachach. Znałem nawet nieco szczegółów o synu tego oto starego szlachcica, które też zakomunikowałem mu zaraz.

Tak, powracająca fala. Tylko jakaż mętna, jakaż brudna i nędzna powróciła od obcych wybrzeży, aby pochwyścić i u nas setki i rozlać się pustą pianą ofiar bez celu, bez pożytku i bez aureoli. Przecież przechodziłem obok tych mętów, i jak niewiele trudu trzeba było, ażeby się oprzeć ówczesnemu prądowi, który jednak tyle znacznych umysłów pochłonał i tyle serc wieczną napoił żalobą.

— Bywało, mówił mi zgarbiony

szlachcic, przyjeżdża na wakacje i cały czas męczy mnie, wyśmiewając się z naszych tradycji, aż nieraz i we mnie starym krew zakipi, boć i ja panie widziałem i śmierć zbliżka, i spustoszenie w imię tego, z czego młodzik ten szydził. Tylko, że był w nim ogień święty, więc milczałem. A jednak panie, choć tak obłąkany, kochał mnie on bardzo. Przed śmiercią jeszcze mi pisał: »Pamiętasz ojcie, jakieś mi śpiewał przed laty«.

I chylił głowę stary ojciec, oto sam teraz także cały zapłakany, tylko innemi łzami niż ów w piosence, o której wspomniął, boć przed oczami stawał mu nie obraz słoneczny i radośny, a smutne wspomnienie ukochanego dziecka, ginącego bez wiary i nadziei.

— Powiedz mi pan, zapytał uspokoiwszy się, czy i dzisiaj jeszcze tak samo giną nasi synowie, czy i dzisiaj trwa to obłąkanie?

— A nie, odrzekłem. Dziś jest wielką zagadką, jest chwila bez określonych prądów i dążeń. Dawne hasła zszarzały się, a nowe dopiero może kiedyś twarda praca wyrobi. Dziś powtarzają je ci, którzy z tego zrobili sobie proceder. Żyjemy nie myślą lub czynem, a słowem, w które nie wierzy w gruncie rzeczy nikt. Jakże pan chcesz, żeby za słowo, wyzyskiwane w celach osobistych, ludzie ginęli?

Staralem się najdobitniej dać mu wyobrażenie o marazmie przekonań i idei, jaki panuje wśród współczesnej młodzieży, ale nie zdawał się mnie rozumieć, ani mi wierzyć. Zresztą, widocznie nie zajmowało go to. To też, korzystając z jakiejś przerwy, wstał i pożegnał mnie, zastawiając się potrzebami gospodarskimi.

Godziny mijały. Myśl, nawrócona do ubitego tematu t. zw. »spraw społecznych«, z łatwością szybowiała po zna-

nych dziedzinach, i byłbym się może wziął do pisania jakiegoś wymownego artykułu na którykolwiek z ulubionych tematów współczesnej pedagogiki społecznej, gdyby nie ciągle wizyty moich sąsiadów z chaty.

Niema sfery bardziej przestrzegającej etykiety, niż nasza chłopska sfera. Prości ci ludzie prawie mnie nie znali, nie łączyło nas nic, nie mieli do mnie żadnego interesu, a jednak uważali za swój obowiązek, zresztą zupełnie konwensowny, powitać mnie w domu rodzinnym.

Kobiety przypominały, że widziały mnie ot »takim maleńkim«, komunikowały sobie, co miała im niby to kiedyś o mnie powiadać »nasza pani stareńka«, i życzyły mi »królowny« za żonę. Mężczyźni, po banalnych słowach przywitania, spodziewali się, że będę tu kiedyś sam »gospodarować«, a któryś legalista skarżył się przez grzeczność na

»bezzańskość«. Wiedziałem, że wszystkie te czułości należy opłacić trakta-mentem dla gromady, co też i usku-teczniłem. Wiedziałem, że chłopom nie tyle chodzi o wódkę, ile o etykietę. Etykieta wiejska nakazuje, żeby groma-da witała, a dziedzic żeby za to dostar-czał traktamentu. Wykonywaliśmy te ceremonie z całą powagą, nie mając so-bie zresztą nic do powiedzenia, tylko gdy im nadmieniłem o prawdopodobnej zmianie dzierżawcy, żalowali »biednień-kiej panienki« i wreszcie, życząc mi najrozmaitszych szczęśliwości, poszli.

Zostałem sam i tylko co zacząłem się zastanawiać, dlaczego ja, który z ła-twością potrafię się rozmówić z każdym robotnikiem moim, obcym mi językiem i pochodzeniem, tutaj, z tymi ludźmi, nic nie mam wspólnego, gdy poproszo-no mnie na obiad.

Pokoje, przez które przechodziłem, zmieniły się, jak zresztą wszystko. Do-

strzeżone zmiany, były mi jednak szcze-gólnie nieprzyjemne. Była tu prostota, ale jakaś prostota afiszująca się i nie-ledwie dydaktyczna. Mimowoli nabie-rałem niechęci do pani tego, niegdys mego, rodzinnego domu.

Niechęć wszakże stopniała, gdy zo-baczyłem córkę mego dzierżawcy. Na moje spotkanie podniosła się od stołu szczupła dziewczyna średniego wzrostu, ubrana skromnie, ale bez szablonowego białego fartucha i bez pęka kluczków u pasa.

Nie była ładną. Ciemna pleć i nie-regularne rysy nie przypominały ani trochę typu hożej podolanki, a raczej miejskie dziewczę z ubogiej rodziny. Tylko oczy ciemne, strzeliste, głębokie, czasem rozmodlone, a czasem palące kazały pamiętać, że to dziecię kresowe, dziecię stepów i pól, a nie bruków i poddaszy.

— Przedstawiam ci, Maryniu, nasze-

go gościa, który, właściwie mówiąc, jest naszym gospodarzem — rzekł mój p. dzierżawca, odzyskując przy obiedzie staropolskie gościnne maniery, z którymi tak mu było do twarzy.

Marynia, nad moje spodziewanie, zdawała się nieco zażenowaną. Była nawet chwila, w której myślałam, że zacznie mnie przeproszać za »skromny obiadek«, mnie, jako nibyto przyzwyczajonego do miejskich potraw. Ale nie. Banałność ta jakoś nie przesunęła się przez usta mojej młodej gospodyni, która mi się z każdą minutą zdawała sympatyczniejszą. Przy obiedzie rozmawiali ze sobą najwięcej ojciec i córka, i to w sposób urywany. Widocznie rozumieli się od pół słowa i kochali się bardzo. Uważałem tylko, że ku końcowi niedługoż zresztą obiadu mimowoli poprzybie-rali uroczyste miny, jakby przygotowując się do walnej rozprawy o interesach i o zasadach. W gruncie rzeczy tych

uroczystych rozmów z obmyślonymi argumentami nie lubię, ale na ten raz byłem nieco ciekawy.

Jakoż oczekiwania nie zawiodły. Pokój, do którego przeszliśmy »na kawę« (t. j. kawę tylko ja jeden piłem), mógł na upartego nosić nazwę saloniku. Zgromadzono tu nasze stare meble bez rażących zydlów drewnianych, propagujących prostotę w innych pokojach. Na stole widziałem kilka książek jednako-wo, żałobnie oprawnych i o podobnej treści. Były to »Nad Niemnem«, »Dewajtis«, »Szary Proch« i t. p. Wogóle podobizna panny Rodziewiczówny wylażała do mnie ze wszystkich kątów. Widocznie krzykliwy nieco duch tej autorki panował tu niepodzielnie.

— Oferty pańskiej — odezwała się panna Marynia, po naradzie z ojcem — przyjąć nie możemy, dla powodów tak materyjalnej, jak i moralnej natury.

— Słucham jednych i drugich.

— Powody materialne są bardzo proste. W obecnych warunkach gospodarstwa, tenuta, jaką płaciliśmy, jest zbyt wysoką. Dzierżawca musi więc ryzykować, a my już ryzykować nie mamy z czego. Dziś rozstajemy się ostatecznie w dobrym porozumieniu, i wypełniwszy wszelkie zobowiązania, za rok możemy tego zrobić nie mogli.

Napomknąłem, że tenutę możnaby obniżyć.

— Tego pan uczynić nie możesz z natury swoich interesów. I z biegłością rachmistrza wyliczyła mi wszystkie pasywy majątkowe, wykazała bilans opłat, który jeszcze przez lat sześć wymaga takiego a nie mniejszego dochodu, natrąciła o racjonalności odsprzedaży oddalonego kawałka gruntów chłopom i wogóle okazała nie gorszą odemnie znajomość interesów mego majątku.

Ojciec słuchał, potakiwał i od czasu do czasu wstawiał słowo.

— W takim więc razie — rzekłem — pani, która, jak uważam, zna się doskonale na interesach wiejskich, da mi zapewne radę sprzedania tego kawałka ziemi, bo jeżeli tak wysokiej tenuty dzierżawnej, jakiej stan obciążenia majątkowego wymaga, uzyskać nie można, to innego logicznego wyjścia nie widzę.

Mówiłem to spokojnie, bawiąc się papierosem i wpatrując się w moją interlokutorkę.

W jednej chwili mój biegły rachmistrz stał się zwyczajną, nerwową dziewczyną. Płomień oburzenia przeleciał jej po czole i po twarzy, w oczach stanęły łzy.

— A panie — wymówiła głosem zdławionym — pan z takim spokojem mówisz o sprzedaży kawałka ziemi rodzinnej, kawałka świętej spuścizny, jakby o sprzedaży starej sukni.

— Marynia przesadza — wmieszał się ojciec. Dzierżawca ze znacznieszym kapitałem, zawierając kontrakt kilkoletni,

może zaryzykować i przyjąć warunki, jakich stan majątku wymaga. My jednak, nie posiadając kapitału, zawierać takiej umowy nie możemy.

— Zatem logicznym wyjściem jest wyszukanie dzierżawcy ze znacznie-szym kapitałem, co mi właśnie doradza i p. marszałek, wzywając mnie natychmiast do Kijowa na kontrakty. Tylko, że to trochę będzie trudno w »tym nie-szczęśliwym kraju, gdzie wszyscy idą z torbami«.

Blady uśmiech przesunął się po wargach ojca, córka wszakże, jakby się śpiesząc, żebym jej nie przerwał, zawołała:

— Jest panie i inne wyjście. Dziś przeminęły czasy absenteizmu, dziś nie-dość jest ziemię trzymać, trzeba na niej pracować, bo tylko praca zapewnia posiadanie. Kto dziś ma kawałek ziemi, przed tym otwarta i jasna droga obowiązku, stanąć samemu na ojców zago-

nie, urobić sobie ręce po łokcie i czynem stwierdzić przekonanie.

— I to jest właśnie ten powód natury moralnej, dla którego państwo o-puszczacie mój majątek, zostawiając mi wolne pole do praktykowania tego obo-wiązku?

— Tak — odparła z wyzwaniem. To jest ten powód moralny, boć jakaż przy-szłość społeczeństwa, któreby posiadało kapitały, fabryki, miasta, a z ziemi zo-stało wyzute?

— W każdym razie dziękuję pani za wskazanie mi drogi, a zanim na to od-powiem, pozwolę sobie zapytać o jedno. Podobno państwo posiadacie kilkadzie-siąt morgów ziemi na Podolu, czy to na tym futorze zamyśla pani nadal pra-cować?

— Tak, panie — odparła z prostotą. Przed sześciu laty, kiedy ojciec wcho-dził do tej dzierżawy, byłam jeszcze dzieckiem słabem i nieporadnym. Zrobił

to głównie dla mnie, chcąc mnie ochronić od trudów fizycznych, do których dziś jestem przygotowaną. Patrz pan oto — dodała, pokazując drobne, biedne ręce, urobione już i pociemniałe. Umieją one i prać, i doić, i pleć, a i sierp i grabie nieraz w nich bywały.

To okazywanie rąk nie było pozbawione pewnej dumy i afektacyi. Nie były to zwyczajne ręce wiejskiej pracownicy, a raczej namacalny dowód rozumowanej tezy.

— Bardzo pięknie — rzekłem — ale cóż będzie z intelektualnymi potrzebami na tym futorze, w otoczeniu ludzi prostych i nie umiejących rozprawić o obowiązkach społecznych?

— Ach panie, moje potrzeby intelektualne, jak się pan wyrażasz, są również proste, o obowiązkach nie potrzebuję rozprawić, a tylko je czuć, a gdybym mogła, gdybym mogła ponieść światełko moje ubogie w lud ten, z któ-

rym żyć będę, o jakżebym się czuła szczęśliwą.

— Tak pani. Mniej więcej to samo powiedziała Justyna, w przepięknej zresztą powieści »Nad Niemnem«, którą właśnie trzymam w ręku. Tylko, widzi pani, genialna autorka może natchnąć swe kreacje tem, czego nam właśnie życie odmawia: potęgą ducha, idącą z głębi, a nie wyrozumowaną, normalną siłą uczucia, a nie nerwów igraszką, mocą wiary, a nie mocą rozpaczcy. I dlatego unosiłem się nie tyle może nad Justyną, ile nad siłą talentu pani Orzeszkowej, a w słowach pani widzę tylko bańki mydlane lub wymęczone ideały, które prysną pod naciskiem rzeczywistości.

— Słyszałam to nieraz — odrzekła marszcząc brwi — nic pan nowego nie powiadasz. Bo i dlaczegóż ja właśnie nie miałabym posiadać tej normalnej

siły uczucia, dlaczego pan mi tej wiary w siebie odmawiasz?

— Dlaczego, dlaczego — powtórzyłem, zapalając się z kolei. Dla tego, że pani, jak i ja, jak i tysiące, należysz do niedokrewnego pokolenia, które przyszło na świat po ciężkiej burzy, w chwilach niemocy i zwątpienia. Oto nasz grzech pierworodny. Powiedz, czem przysłużyło się to pokolenie, dziś dobiegające męskiego wieku, czem powiększyło spuściznę dziejową? Gdzie jego »ludzie wielcy«, gdzie jego dzieła i pamiątki? Czy brakowało nam talentu? Ach nie, ale mieliśmy tylko i mamy wrodzoną do czynu niezdolność.

— Przecież zapal tworzy czyny, nawet najdrobniejsze, a któż go od nas więcej posiada?

— Nie pani, czyny płodzi nietylko zapal, a zresztą nasz zapal to próchno. Nas prześladuje wieczna nieumiejętność życia. Zamiast syntezy faktów realnych,

chcemy wszędzie wprowadzić tendencję i poimy się haszyszem wielkich słów, zamiast pokarmem zdrowym małych czynów. Dziś oto tendencya wprowadza się nawet do takiej zdrowej i normalnej funkcji społecznej, jaką jest trzymanie się ziemi. Pracy na roli nadają się chorobliwe cechy bohaterstwa, lub ofiarności na ołtarzu nieubłaganego obowiązku.

— Bo też świętym obowiązkiem jest ta praca, i szczytnem jest hasło »ziemia, ziemia, dla niej pracować, dla niej poświęcać się trzeba«.

— Ach pani, praca koło roli jest podstawą bytu, a nie przedmiotem tendencyjnej propagandy, która, jak rak, toczyć zaczyna wszystkie nasze funkcje społeczne. Hasło to, którym się pani szczycisz, toć nie nowina, nie propagowały go dawniejsze pokolenia, tak, jak się nie propaguje miłości rodzinnej, właśnie dlatego, że było to w nich u-



czucie wrodzone a nie rozumowane, prawda a nie szyld. Dzieje wyrobiły u nas naturalny typ rolnika-szlachcica lub chłopą, typ, nie otoczony żadną aureolą, ale typ zdrowy, normalny i dlatego silny. Dziś chcecie go zastąpić jakimś tendencyjnym bohaterem krzykliwego romansu o ziemi ze szkodą dla niej samej. Jaką korzyść ze mnie chociażby ta ziemia mieć będzie, jakiem prawem chcesz pani dać jej na gospodarza, w imię teoryjki na temat popularny, człowieka innych przyzwyczajęń, usposobień i zdolności?

— Nie w imię teoryjki, panie, ale w imię tego przekonania, że ziemiakarmicielka każdego utulić i zaspokoić potrafi, kto ją kocha. A pan-że ją kochasz przecie — mówiła mi jakimś modlitewnym głosem — kochasz, choć nie czynnie, ale biernie.

— Czy tak? — odparłem wymijająco. Więc sądzisz pani, że te »zdo

«pługa», tak wdzięcznie przez Szajnochę opisane, a tak ci widocznie drogie, odbywały się w imię zasad, miłości ku ziemi, wymarzonych ideałów i t. d. Nie pani. Tworzyła je siła potężna, promieniąca z bujnego społeczeństwa na dalekie obszary, tworzyła je energia i fantazyja, a nie sentyment, utrzymywała nie idylla, ale krew. Dziś tej siły niema.

— A czyż dla tego nie powinny nam być one droższe?

— Jeżeli powiadamy »powinny«, to wszystko jedno, jakbyśmy przeczyli. Zechciej mnie pani zrozumieć. Miłość ku ziemi nie może być ani powinnością, ani obowiązkiem, ani tematem, ani tezą, ona musi być istotą duszy naszej, treścią naszej jaźni. Gdzie taka miłość zamarła, tam jej afektowana propaganda nie obudzi, gdzie kiełkuje — nada jej chorobliwe cechy. Społeczeństwo zaś przede wszystkim potrzebuje zdrowia w swych podstawach. Kto taką zdrową,

wrodzoną miłość posiada, niech śmiało stanie na ojczystym zagonie; kto jej w sobie nie czuje — i tu zawahałem się przed ostateczną konsekwencją — niech trzyma ziemię jako depozyt...

— A któż ci powiedział, młody panie, odezwał się nagle milczący dotychczas starzec, że na miłość taką, jak na plon złoty, pracować nie trzeba. Może i w twojem sercu tkwi jej ziarnko, które krwawą pracą własną z czasem w kłos bogaty rozwinąć się może. Tylko, że was oto porywa prąd wartki na inne pola, na inne brzegi. Być może, mówił łagodniej, i tam z czasem wzniesiecie to, około utrzymania czego my zabiegamy. Tylko to już nie dla nas. Ja tę właśnie miłość, o której pan mówisz, czuję w sobie; tu mi żyć, tu i umierać.

— My nie wzniesiemy, rzekłem, myśmy tylko pomiot marny, na którym może z czasem zakwitną plony. A jednak i my krwawo nieraz, chociaż ina-

czej, pracując, wierzymy, że przysposobimy grunt dla przyszłego robotnika.

— Tylko, że tego robotnika nie wiadać — rzekł głucho starzec.

Ach pocóż szukać gruntu, gdy on tutaj, gdy tu mogiły ojców, tu przodków pamiętki? — szepnęła dziewczyna z nerwowym uporem kobiecym, do jednego wracając.

Zapanowało milczenie. Zmrok zwolna zapadał i ostatnie promienie słońca, wdzierając się przez okno, złociły stary portret mojego dziada, do którego, jak mi mówiono, byłem bardzo podobny. Dalej widniały szerokie, smutne łany, niby to moje dziedzictwo, którego ująć w ręce nie umiałem.

— No, odbiegliśmy od rzeczy — prze-rwał milczenie mój gospodarz zwyczajnym, uprzejmym głosem. Cóż pan ostatecznie postanawia?

Rzuciłem raz jeszcze okiem na smutne łany i spotkałem wzrok smutnej,

bladej dziewczyny we mnie wlepiony. Były to cudowne, namiętne oczy, świeciła w nich wszakże nie owa cicha, gorąca a niezwalczona miłość naszych matek, lecz nerwowe podniecenie dziecięcia wieku; świeciło w nich umiłowanie abstrakcyi, a nie istoty życia, było w nich wiele dla tezy, a nic dla człowieka. Tak mogła patrzeć matka spartanka, ale tak patrzyła zapewne także »kobieta polityczna«, dziwaczny twór newrozy społecznej z przed lat 25.

Odwrociłem się i rzekłem:

— Pojadę natychmiast do Kijowa i wyszukam dzierzawcę.

Błada dziewczyna osunęła się na krzesło, a portret zdawał się na mnie patrzeć z wyrzutem. »I tyś zląkł się, syn szlachecki«, mówiły jego oczy.

\* \* \*

Za chwilę znajdowaliśmy się już na ganku. Słońce powoli zasunęło się za

daleką, śnieżną równinę. Było białe, pusto i marno.

— Patrz pan — rzekłem do mego gospodarza — oto na tych wzgórzach był dawniej las, za który zachodziło słońce. Dzieckiem będąc, myślałem, że za tym lasem kryją się cuda, młodzieńcem — marzyłem, że kiedyś z za tego lasu wystąpi ku nam objawienie Boże, wzniesie się, mówiąc słowami poety, »ogromny posąg z jednej bryły, a tak hartowny, że w gromach nie pęknie«. A dziś — dziś las wyciął p. marszałek i nie widzę żadnych cudów i nie spodziewam się objawienia.

— I myślisz pan — odpowiedział stary szlachcic — że oto zachodzi słońce, i potem nastąpi tylko noc głucha i ciemna, bez nadziei.

— Nie, ojczy, nie — zawołała dziewczyna — potem jutrznia zabłyśnie i nowem światłem te stepy białe zaróżowi. Była prawie piękną w tej chwili,

z aureolą ostatnich promieni, niby splatających się w koronę na ciemnym warkoczcu.

— No, dość słów wysokich — prze-rwał znowu milczenie mój p. dzierżawca. odzyskując staropolską swobodę. Bywaj nam zdrowy, miły gościu. A choć to ja człowiek wczorajszy, pan dzisiejszy, a moja dziewczyna, to chyba jutrzejsza, toć może przyjdzie chwila, że to wczoraj, dzisiaj i jutro zestrzeli się razem i w jednej harmonii zespoli. Kto wie? — zapytał popatrując na nas i uśmiechając się nieco jowialnie z pod wąsa.

— Kto wie? — odpowiedzieliśmy, ścis-kając się serdecznie za ręce.

Szparko wiozły mnie konie przez za-snieżoną równinę. Myślałem o ostatnich słowach starego szlachcica. Któż po nim zostanie, kto wytrwa, kto tę ziemię utrzyma? Czy oto tacy, jak ta chorobli-wa, nerwowa dziewczyna? Ach, złamie ich pierwsza walka, a pochłonie bez

śladu bagno szarej doli, — bez śladu, boć nerwy tylko do ofiary, a nie do czynu prowadzą. Czy tacy ludzie obcy tej ziemi, jak ja? Nazwał mnie człowiekiem dzisiejszym. Dzisiejszy człowiek? czyżem ja naprawdę dzisiejszy? Wielki pisarz współczesny powiada o człowieku dzisiejszym: »Nie potrzebuje on Beatry-czy, ażeby się nie zabłąkać w Dantej-skim lesie, ani też wysiłku, ażeby *spe-rare contra spem*. On spokojny i nie-ustraszony, nie cofnie się przed niczem i zdążać będzie do celu, wiedząc, że każde społeczeństwo jest w części pa-nem losów swoich, że *in deiner Brust sind deines Schicksals Sterne*. I głos jakiegoś bezbrzeżnego smutku wołał mi w głębi duszy. Gdzieżeś ty, człowieku dzisiejszy? gdzieżeś ty spokojny i nie-ustraszony, z ogniem uczuć w sercu, a potęgą czynu w dłoni? Zakrywa cię przed nami marna piana pustych ma-rzeń, lub ciężki opar kwietyzmu, zagłu-

sza cię szum czczych słów, lub huk zalewającej fali. Przyjdź, ach przyjdź, robotniku boży, boć czeka cię winnica pańska, boć odłogiem leży niwa ojczysta.

Cień jakiś spadł na moje sanki i konie zwołniły kroku. Znajdowałem się u stóp wysokiej, stromej góry, na której wznosiła się potężna i wspaniała nowo-wybudowana cerkiew, rzucając swój cień olbrzymi na cały wąwóz. Księżyc wynurzał się z za chmur, oblewając swem martwym światłem cały krajobraz, jeszcze bielszy, jeszcze smutniejszy niż przedtem.

*Sperare contra spem*, powtórzyłem w duchu, wracając do przerwanego wątku marzeń. I stanęła mi w oczach postać matki ukochanej, gdy mi przed laty kazała klękać i mówić pacierz za tułaczy. I oto dziś, sunąc w małych saneczkach, jak w drobnej łodzi po bezbrzeżnym oceanie śniegów, powtarzałem sobie z poetą:

Kazano w kraju maleńkiej dziecinie  
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie  
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,  
Płynąc po świecie.  
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,  
Smutno mi Boże.

I było mi smutno, że moja modlitwa  
dziecinna nic nawet dla mnie samego  
nie mogła.

Widok latarni kolejowych rozproszył  
te marzenia.



CIOCIA MARCYSIA

Była małą, zawiędlą i przygarbioną. Miała oczy jasno-niebieskie, jakby wypłowiałe, dość już rzadkie siwe włosy, zwinięte w niewielki zabawny warkoczyk, zęby żółte, wielką słodycz w linii wąskich ust i serdeczność w uśmiechu. Trudniła się stołowaniem, produkując, ku zaspokojeniu głodu swych licznych gości, t. zw. »litewskie obiady«, które przez jakiś czas zdystansowały zupełnie niegdyś słynne w Petersburgu garkuchnie (w nadnewskiej polszczyźnie »kuchmistrye«) greckie i podobnie jak »litewskie wędliny« święciły przez lat kilka tryumfy nad niemieckimi.

W danym wypadku, t. j. u cioci Marcysi litewszczyzna była autentyczną i niewątpliwą. Nie tyle może w potrawach.

Zdarzały się wprawdzie czasem na brudnej karcie papieru, zastępującej jadłospis, wypisane bardzo błędym atramentem nazwy potraw iście litewskich, ale była to wielka uroczystość i ciocia wówczas prezydowała w jadalni, bacząc pilnie, ażeby każdy nietylko jadł, ale i zachwycał się »boćwinką, kielbasą z kapustą i kołdunami«. Kto zaś żądał w te dni uroczyste potraw innych, ten uchodził nieledwie za bluźniercę. Ale, jak powiadam, święto takie zdarzało się najwyżej raz na tydzień, zwyczajne zaś dni musiały się odbywać »szczami« lub bulionem, z którego jeno faworyci dostawali »mięso przy kości«. Natomiast ciż faworyci, dzięki swym zakulisowym stosunkom w kuchni, utrzymywali, że chociaż potrawy są petersburskie, to jednak są robione na istotnem »litewskiem maśle«, a wszelkie wzmianki o margarynie uważali za obrazę osobistą. Był nawet pomiędzy nimi dymi-

syonowany generał, sława i luminarz garkuchni, który od czasu do czasu miewał prelekcye o nadzwyczajnej zdrowotności obiadów cioci Marcysi, znakomicie przewyższającej jakoby pod tym względem Borela, Contana i innych renomowanych restauratorów, u których on, generał, mógłby jadać, ale dla pożytku własnego zdrowia nie chce. Słowa te nieraz były cytowane, jako powaga i dowód nieprzeparty ku zawstydzeniu cyników i sceptyków, którzy ani rusz nie chcieli uwierzyć, jak można za 2 złote, lub na abonament 50 groszy, zdrowo karmić, i stale wróżyli wszystkim gościom i sobie fatary żółdka w przyszłości.

Litewszczyzna tedy nie tyle była w potrawach, ile w umeblowaniu, w obrazach Matki Boskiej Ostrobramskiej, Pana Jezusa Antokolskiego, w fenomenalnie niezgrabnej dziewczynce usługującej, której imienia nikt dobrze nie



wiedział, a która u cioci, przy częstych napomnieniach, nazywała się »jedna z drugą«, w ziołach i trawach nadnie-meńskich, w uroczystem święceniu wszelkich świąt litewskich i wreszcie w opowiadaniach samej cioci Marcysi.

Bardzo albowiem lubiła opowiadać starowina. Bywało, gdy obiad zbliża się ku końcowi, gdy większość stołowników się wyniosła, a pozostali faworyci, lub tacy, którzy nie mając pieniędzy, ociągali się z oświadczeniem o zapłacie »jutro«, zasiada ciocia Marcysia przy stole i wtrąca się do rozmowy z byle jakiego powodu. Najczęściej z powodu nazwiska. Ktoś wymówi jakieś nazwisko kolegi, czy znajomego. »A czy nie wiesz, kochanieńki, czy to nie syn pana Jana takiego to?« I, nie czekając odpowiedzi, prawi: »Oj, święty to był człowiek pan Jan, tylko gorączka, oj, gorączka. A mój to taki sam kubek w kubek. Bywało, serdeńko, przyjdzie po chłodku do nas,

boć to, kochanieńki, mieszkaliśmy o staję, a przez mostek toć i bliżej, tylko, że pod górę, no to jak błoto, abo i śnieg, to i ciężko; tak jak przyjdzie, toć zaraz z paputkiem dysputa. Tak ja już i namawiam: lepiej wypijecie co, zakąsicie — ale gdzie tam! czyste ciecieruki tokują, taj tokują. Ńo, to bywało ja już i pacierze zmówię i nowennę, a oni jeszcze i jeszcze, dopiero spać pora, aż paputko woła; Marcysiu, a dajno jeść. Tak, kochanieńki, bywało«.

Ciocia Marcysia zupełnie nie rozumiała, że opowiadania w tym guście wcale nas bawić nie mogą, nie rozumiała, żeby ktoś mógł nie znać Wilna, Kowna, Święcian, Lidy i innych miejscowości litewskich, zwłaszcza wstawionych kiermaszami lub cudownymi obrazami, a już stanowczo nie mogło się jej w głowie pomieścić, żeby ktoś, co po polsku mówił, nie miał osobliwego nabożeństwa do Matki Boskiej Ostro-

bramskiej i Pana Jezusa Antokolskiego. Nasze niezbyt bogobojne żarty i arcy-  
nieraz wolnomyślne zdania wcale jej  
nie gniewały, była albowiem przekonana,  
że my sobie tylko tak udajemy,  
»tak jak bywało kochanieńki paputko,  
co to nieraz z jej nowenny pożartować  
lubił, a serdeńko modlił się zwłaszcza  
w sobotę, długo, a nieraz to i krzyżem  
leżał«. Ciocia Marcysia znała się na  
żartach, to też nic sobie nie robiła z  
naszych pretensjonalnie antyreligijnych  
rozpraw i po staremu zalecała specjalne  
przymioty rozmaitych spowiedników,  
wierząc święcie, iż każdy z nas, zwa-  
szcza przed egzaminami, przystępuje do  
stołu Pańskiego.

To, co leżało po za sferą jej pojęć  
i niejako wrodzonych wyobrażeń, było  
dla niej nietylko niezrozumiałe, ale  
wprost nieprzystępne. Potężna fala ży-  
cia petersburskiego jakoś ześlizgiwała  
się po duchowej istocie cioci Marcysi,

pozostawiając na niej tylko kropelki  
mniej więcej jej pokrewne, reszta nie  
istniała, reszta to było coś nieledwie  
w czwartym wymiarze, poznawalne je-  
dyńie dzięki takim lub innym skutkom  
w sferze dostępnej. Tej zaciętej, przy  
całej swej słodyczy, litewskiej, kamiennej  
natury, żaden obcy kwas życiowy, ża-  
den wpływ rozpuścić nie mógł, tak, że  
ciocia, sama o tem nie wiedząc, stano-  
wiła rzadki przykład odporności du-  
chowej.

A życie miała tak dziwne i tak w wy-  
padki obfite, iż, zdawałoby się, mogła  
dziesięć razy zmienić się i uledz. Kie-  
dyś z pod Wilna znalazła się aż »na  
końcu świata«, gdzie przemieszkała lat  
z pięć, następnie w widokach jakiejś  
drobnej sukcesyi trafiła z mężem aż do  
Paryża w przededniu ostatniej wojny  
i wytrzymała całe oblężenie, komunę,  
ani na chwilę nie zmieniając święciań-  
skich obyczajów i poglądów. Z tej

olbrzymiej, ponurej tragedyi pozostały jej dziwnie błahe wspomnienia, a wszystkie te dziejowe wypadki w Paryżu uważała w gruncie rzeczy za daleko drobniejszą sprawę od ulubionego opowiadania o ostatnich wyborach szlacheckich.

— No cóż, ciociu, jakżeż tam było w Paryżu, jacyż to tam byli francuzi?

— Tak i cóż kochanieńki, francuzi toż ludzie, choć i nie po naszemu gadają i żeby nie ś. p. panna Marcyanna Zaklikiewiczówna, co to wiesz przychodziła się krewną sęstwu Horoszkiewiczom i bardzo pięknie edukowana była, aż mówili, że o nią sam Mejsztowicz się starał, otóż, żeby ona nie wyuczyła mnie trochę po francusku, toć zupełnie by ciężko było. Prawda, takich spowiedników jak ksiądz Julian, albo i ojciec Maryusz, to tam nie było, ale nabożeństwo różańcowe toż się u nich odprawia, a jak była solenna wotywa, z wy-

stawieniem Przenajświętszego Sakramentu...

— Ale co tam wotywa, przecież ciocia nietylko w kościołach siedziała. Co było, jak prusacy otoczyli?

— A co miało być. Paputko poszedł w sołdaty, jak to oni tam nazywali »gwardya narodowa«. Ale taka tam i gwardya. Oficerów to sobie sami wybierali, czysty śmiech kochanieńki. Takż w tym domu mieszkał czarny taki, chudy francuzina, mówili — pięknie edukowany, boć niby to w gazetach pisał, a on, kiedy mu mówię, że ja ze Świąciańskiego, tak pyta a co to? Kowna, kochanieńki, nie widział. Jeno prawi: *Lithuanie, Lithuanie, je sais, je sais, noble terre, lithuaniens bons republicains*. Czyste drwiny. No, tak uważasz, tego czarnego, tak oni w tym batalionie, gdzie to paputko i kilku naszych służyli, wybrali sobie na porucznika. No, to ja powiadam, przyprowadź-

cie go na obiad, bo to zawsze splendor, niech ja tam waszego lejtenanta poznam. Takem serdeńko chciała kołdunów zrobić, a no nie było z czego, ale kielbasę tom taki urządziła po naszymu. Oj jedli i chwalili. A ten francuzik nie bardzo. No, myślę sobie, jak to ty tam biednieńki dasz sobie radę z prusakami, bo co u nich, to lada żołdat wie, gdzie Kowno, gdzie Wilno, a co niektórzy to i sam bywał, jako to oni wieprze wszędy kupują. Niby to kochanieńki wszystko jedno, ale taki mądry człowiek, wiedzący, gdzie co i jak, toć w każdej okazyi pewniejszy. No, prawda, że niemce lutry, to i błogosławieństwa Najświętszej Panny nie mają, ale i francuzi takż bez nabożności prawdziwej, jako i ten lejtenant.

— Et, ciocia znowu swoje.

— A swoje, kochanieńki, a swoje. Widzisz, było kiedyś tak w zimie. U nas to mięsopust, a tam wtedy i głodno i chłodno i do domu daleko. Przyjdzie

paputko z naszymi z tej swojej warty, a tu choć płacz, nic im oprócz koniny i chleba dać niema, nawet pacuki wszystkie poginęły. Jeszcze konina, jak konina, wymyśliłam sobie jak ją przyrzadzać, że niby to schab, ale chleb, oj Jezu miłosierny, co też to był za chleb! Tak, uważasz, zaczęli prusacy strzelać z tych wielkich harmat, co to kule, jak głowa cukru, takż niektóre i na naszą ulicę dolatują. Patrę ja i patrę i myślę sobie, ot, żeby to były takie prawdziwe głowy cukru, nużby nazbierać i księdzu kanonikowi do Mosarza posłać, bo to, uważasz, staruszek fenomenalnie cukier lubił, do herbaty bywało toć pięć albo i sześć kawałków kładzie i nie było dla niego większego prezentu, jak głowa cukru. Żydki, co go poważali, to bywało i po dwie noszą. No; tak ja sobie myślę, aż tu, serdeńko, pęc o jakie sto kroków od naszego domu. Oj, Najświętsza Panienko Ostrobramska,

dopieroż my z paputkiem ukłękli i dawaj czytać ewangelię; jako w czasie burzy, »Na początku było słowo, a słowo było u Boga«. A ten lejtenant wyleciał na ulicę, tak pięściami niebu wygraża i krzyczy *lâches, lâches*. Obraza Boża, taj tylko.

— Tak, że marni żołnierze z tych francuzów.

— Co też ty, kochanieńki, gadasz. Gdzież francuzi marni żołnierze. Chyba nie wiesz, że z naszymi razem, -to cały świat zwojowali. Byliby i wtedy prusaka od Paryża odegnali i wypędzili het, gdyby ich ten generał Trochu nie sprzedał.

— Co też ciocia wygaduje, Trochu był człowiek zacny i żołnierz prawy i wszystko to plotki.

— Ech, serdeńko, mówisz z książek, a ja tam była. Czy to paputko sam nie patrzył, jak rozmaite niemce, dobrze obładowane, do tego tam generała Tro-

chu chodzili. A nasz sąsiad, krawiec z przeciwka, porządny kiedyś, słyszę, warsztat miał, to klął się, że na własne oczy widział, mundury jakieś, czy co nosił wtedy do sztabu, jak ten Trochu złoto, serdeńko, kwartą mierzył. Co mi tam gadasz. Przecie z tego i potem to wielkie powstanie u nich było.

— Niby komuna. No i cóż ciocia robiła w czasie komuny.

— Widzisz, to wtedy my już ze wszystkim cicho siedzieli. Paputko, to trochę ochoty miał, bo i nasi namawiali, że teraz u nich co starszy, to nasz, tak, że zaraz można rangę dostać, ale ja mówię — dosyć z ciebie, pamiętaj, że mamy dzieci; no, a jak się potem pokazało, co to oni, ci powstańcy, wyrabiali, jak samego, Panie Boże im odpuść, arcypasterza zamordowali, takem powiadała, a widzisz, paputko, źlem to ci radziła, i tak my już do końca cicho siedzieli, a ostatnie trzy dni, to

i prawie nic nie jedli, jeno chleb, bo i nosa pokazać było straszno.

— Jakżeż to się skończyło.

— Ach, kochanieńki, sądny dzień był i reszta. Jeszcze z wieczora portyerka powiedziała, żeby drzwi zaryglować i nikogo z powstańców nie puszczać, bo podobno żołdacy prawdziwe, po domach chodzą i gdzie znajdują powstańca, tak bez gadania wszystkich wnet wykołają i rozstrzelają. My się i zamknęli i firanki zapuścili. Aż tu w nocy patrzy-  
my, łuna na niebie taka, że to skończenie świata. Toć widziałam, jak się Lida paliła i w Wilnie na Zarzeczcu pożar wielki był także, ale gdzie to serdeńko. Krzyk, a lament, a jęki, a strzały, a przez firanki takie krwawe światło biło, żem czytać wprost z książki mogła, to my serdeńko poklękali i mówimy modlitwy przy konających, albo i anioł pański za dusze, znikąd ratunku nie mające, boć wiele ich tam wtedy bez

księdza i sakramentów w zapamiętałości biednieńkich poginęło. Tak ich Pan Bóg za śmierć arcypasterza pokarał. I tak całą noc. Nad ranem, już brzask był, słyszymy, i przez naszą ulicę przebiegają. Tak, jam i wyglądnęła. Patrzę się, aż tu nasz ten lejtendant chudzina stuka do drzwi. Zakrwawiony serdeńko, poszarpany, na ustach piana, oczy obłąkane, ale się taki ciągle w tył odwraca i pięściami wygraża. No portyerka głuchą udaje i nic, alem ja sobie pomyślała, a gdzież to można chrześcijańską duszę zostawić tak na zgubę, dopiero do drzwi, takem go i wciągnęła do izby. Ledwom drzwi zamknęła, aż tu paputko od okna biały jak ściana się odwraca i powiada: »żołdacy idą«, naprzeciwko dom plondrują, zaraz tu będą. Tak co tu serdeńko robić. Dopiero ja z wielkim płaczem padam przed obrazem Najświętszej Paniienki Ostrobramskiej i wołam do nich, mówcie

»pod Twoją Obronę«, a potem i koronkę do Przemienienia Pańskiego. A ten serdeńko lejtenant tak, jak kamień stoi, żeby choć głowę schylił, oczyma przewraca i zębami jeno kłapie i wciąż swoje: *Lâches infâmes*. Tak ja go z góry »a milcz że ty przynajmniej, bezbożniku, kiedy nie chesz kolana ugiąć przed Najświętszą Panienką«. Tylko słyszym, trąbka. Dopiero paputko wstał do okna i powiada »zbierają się i w tył poszli«. No takim serdeńko i omdlała wtedy, boć to cud wyraźny był.

— Umyli my potem tego lejtenantą, odziali, nakarmili, a gdy się zbierał, dają mu medalik, w Ostrej Bramie poświęcany, i powiadam »nie mnie, ale Najświętszej Paniencie dziękuj za ocalenie«. No medalik wziął, ale pomodlić się nie chciał, taki w nim upór zawzięty był, że go wolał nad zbawienie wieczne, jeno nam ręce ścisnął i poszedł, tyle my jego i widzieli, a uważasz, takim

go od czasu tego polubiła, że go niemal co dnia wspominam w modlitwach, może też da mu Pan Jezus Najśłodszy opamiętanie. Ale to ja z tobą, serdeńko, gadu, gadu, a tam w kuchni słyszę, nie nie robią. — Nie mogłabyś to jedna z drugą statki pomyć, zamiast śmiać się. Dobra noc, kochanieńki, a pamiętaj, że jutro kołduny, przychodź wcześniej«.

\* \* \*

Po długiej nieobecności wróciłem do Petersburga w czasie pamiętnej bytności floty francuskiej. Nie było podobieństwa przejechać przez szczerlnie wypełniony rozentuzyazmowanym tłumem i zdobny w trójkolorowe francuskie i ruskie sztandary Newski prospekt, wyskoczyłem więc z dorożki i pieszo torowałem sobie drogę ku admiralicyi. Nagle na wysokości Michajłowskiej ulicy, wśród najgęstszego tłoku, poznałem ze zdumieniem cocię Marcysię, w jakiejś zabawnej

zrudziałej salopie. Starowina poznała mnie odrazu i, nie dając przyjsć do słowa, pochwyliła za rękę i gorączkowo urywanym głosem mówić poczęła:

— Serdeńko, wiesz ty, kogo ja tu widziała? Toż mego lejtenanta. Jechał, powiadam ci, w takim otwartym koczku z innymi. Powiadają, że to gazeciarze francuzcy. Tłusty teraz, serdeńko, ale jechali stępo, więc go poznałam zaraz i z czerwoną wstążeczką. No, czy ja się kiedy spodziewała... Ale co tam, powiedz ty mi lepiej, czy to francuzi już nigdy do Wilna nie przyjdą?

— Nie, odparłem, podobno jadą tylko do Moskwy.

— E ja nie o to — i nagle gorączkowo chwytając mnie za rękę, dodała: Powiedz więc, jeżeli francuzi do Wilna nie przyjdą, to jakżeż będzie?

Cóż było na to odpowiedzieć. Snać rzeczywistość poraz pierwszy przedarła się do duszy ciotki Marcysi. Wtem z gma-

chu »dumy« rozległy się uroczyste dźwięki hymnów narodowych. To zaczynał się słynny bankiet. Na ulicy tłok stawał się coraz większy. Chciałem cię wyprowadzić.

*Ura! ура! vive la France!* — zagrzmiały tłumy.

W oknie ukazał się wytworny admirał Gervais.





NA CMENTARZU  
PETERSBURSKIM

Wszedłem na nasze petersburskie »Campo Santo«, na cmentarz katolicki na t. zw. wyborskiej stronie. Bywałem tu nieraz, w chwilach smutku i żałoby, gdyśmy na wieczny odpoczynek kogoś z bliższych odprowadzali, że jednak całym przypadkowy zbieg okoliczności rzucił mnie w tę oddaloną część miasta więc, zachciało mi się zobaczyć, jak też wogóle ten nasz cmentarz wygląda, o czym świadczą napisy jego pomników i jakie myśli nasuwa tak nieraz potężna wymowa rzeczy martwych. Było tu pusto i cicho, w chorobliwym świetle północnego słońca nagrobki i krzyże wyglądały jakoś bardzo ubogo i staro, jakby same zapomniane w tem miejscu zapomnienia.

Mimowoli przyszły mi na myśl głębokie słowa jednego ze współczesnych pisarzy. »Przenieśmy się — pisze p. Spasowicz — myślą na cmentarz i przypuśćmy, że są tam pochowani wszyscy ludzie pewnego stulecia, uczczeni odpowiednimi napisami, jako »zmarły był najlepszym ojcem, czcicielem cnoty, prawym urzędnikiem«, zbierzmy te napisy i spróbujmy z nich odtworzyć historię wieku, okaże się że robota podobna nie będzie posiadać żadnej wartości.

Trudno sobie wyobrazić miejsce umarłych, któreby bardziej odpowiadało powyższemu słowom, jak nasz petersburski cmentarz, bez wielkich pomników i bez historycznych wspomnień. Z wyjątkiem kilku egzotycznych nieboszczyków, z wyjątkiem kilkunastu dostojników, spoczywają tu przeważnie ludzie znani tylko swoim najbliższymi. Więc napisy na ich pomnikach wyrażają albo żal rodziny, albo zwyczajne zasługi, wspominają

o bardzo mało imponujących honorach, przytaczając przytem często w bardzo charakterystycznie petersburski sposób okok imienia zmarłego imię ojcowskie. By się dłużej zatrzymać przed nagrobkiem potrzeba wśród tych »Janów synów Stanisławowych, Henryków synów Marcinowych i t. p. szukać kogoś bliższego, czyje wspomnienie przemawiałoby nie tyle do umysłu ile do serca. Dla historii ogólniejszej niema tu nic.

I nic dziwnego. Fala dziejowa tak potężna gdzieindziej rzuciła nieraz swe krople na leniwe bagna petersburskiego życia, ale ginęły one niemal niepostrzeżenie, lub przepływały szybko, i żaden ślad trwalszy po nich nie pozostał. Ludzie barwni, ludzie czynu, w podniosłem tego słowa znaczeniu, z trudnością znajdowali tu pole, najczęściej więc usuwali się stąd rychło, i śmierć zastała ich gdzieś tam na stanowiskach, pamięć o nich trwa w sercach żywych,

lub na kartach historii, ale niema jej na cmentarzu wyborskim, tem przytulisku ludzi zwyczajnych i smutnych.

Gdzieindziej brzmiały na cmentarzach słowa podniosłe, sławiące wielkich ludzi i wielkie czyny, gdzieindziej lada data na grobowcu wyryta na pamięć przywodzi wypadki olbrzymie, gdzieindziej nad mogiłami łamały się bole tragiczne, tu było nawet wśród najliczniejszych orszaków cicho, tu we łzach rozpływały się tylko bardzo zwyczajne smutki, tylko łkania sieroce piersią miotały. Gdzieindziej jest na cmentarzach groza i wielkość, tu tylko żałość ciężka i pustka. Dla historii wieku niema tu nic.

Bo i któżby jej szukał wśród was ubogiej braci, wichrami losów na północ zagnanej? Od stu lat szliście tu ludzie cisi z litewskich borów, piasków mazowieckich i równin Ukrainy nie poto by »płakać nad rzekami Babilonu«, nie poto, by z genialnym poe-

tą, »dumać przed Piotra Kolosem«, nie poto by walenrodować; ale dla własnych drobnych spraw i osobistych widoków. Twardem było wasze życie, pograżone w płytkiem morzu powszedniej pospolitości, w trudzie ciężkim i wiecznej tęsknicy za daleką ziemią ojczyzną, niebem jasnym i lepszą dolą, smutną była i śmierć wasza, gdyście się kładli pod zmarzłą gliną północy, unosząc do grobu gorycz zawodów i skargę cichą na losy, odprowadzani na miejsce wiecznego odpoczynku przez garstkę przyjaciół, tak samo życiem skołatanych i tak samo do lepszej doli beznadziejnie tęskniących. I któżby szukał wśród zwłok waszych »Historyi Wieku?« A jednak, gdym ogarnął wzrokiem te całe setki białych krzyżyków, rozwiniętych, jak szeregi wojskowe w prawidłowe prostokąty, poczułem, iż z tego lasu żalobnych drewniek z mnogości wyrównanych wzgórków przemawia jednak wła-

sna historia pogrzebanych tu pokoleń, jakby słabe odbicie potężnej dziejowej idei.

Dużo tu jeszcze wprawdzie miejsca wolnego, sporo jeszcze musi się wznieść krzyżyków, zanim mogły krańców osiągnąć cmentarnego pola, ale już i dzisiaj uwydatniła się spokojna i systematyczna praca śmierci, wznoszącej regularnymi szeregami jedne groby obok drugich, w ciasnocie, ale i w porządku, jakby chcąc utrzymać między tymi ludźmi spójnię, jaka ich łączyła za życia. Umierali oni tak samo, jak i żyli nieraz niewiedząc o sobie wzajemnie, pochłonięci własnymi troskami, a jednak mogły ich składają się w jeden wielki czworobok, w jeden wał wielki, jak i drobne ich czyny w jeden wspólny akord służby publicznej coraz potężniejszy i coraz doskonalszy.

Jak z jednego grobu stopniowo wyłonił się ogromny prostokąt mogił, szeroko rozpostarty po pustem polu pół-

nocnem, tak i z powodzi drobnych spraw, z mgły maluczkich namiętności, które zajmowały i ożywiały tych tu spoczywających ludzi, wylaniać się zaczęły, dziś jeszcze nie zupełnie jasne zarysy służby publicznej. I jak wzrastać będzie zastęp tych grobów tak i zadanie żywych wzrastać i olbrzymieć będzie, aż kiedyś nad setkami tysięcy tych przywalonych rozmokłą ziemią kości, wznieśnie historia jeden wspólny pomnik i nakerśli napis dziejowy, nie ową skargę o pomstę do nieba wołającą, nie owe dumne godło wichrom urągające, ale ewangeliczne cichych błogosławieństwo, które im dziedzictwo ziemi ojczystej przepowiada.

I zdało mi się, że oczami ducha widzę, na tem ubogiem cmentarzysku, skupiającem wszystkie bole i wszystkie radości w wielkiem mieście za życia rozpierchłe, miejscowego *genius loci*, jak stoi tu zgarbiony i nieśmiały, zapra-

cowany około wznoszenia nowych mogił, których celu nie rozumie, co chwila wypatrując i nasłuchując, ażali nie ujrzy na niebie południa znaku, ażali nie usłyszy głosu, zapowiadającego mu koniec trudów i służby.

On nie wie, że ta jego praca tutejsza taka przezornie marna i bezcelowa, jednak się gdzieś liczy w księgach przeznaczeń, nie wie, iż z każdą nową mogiłą przybywa nowe ziarno piasku na szali dziejowej, nie wie, iż każdy zacny wysiłek do celu go zbliża, on nic o tem nie wie, więc się frastuje i troska i wątpi, ażali będzie mógł kiedyś powtórzyć słowa ostatniego proroka, ostatniego nowej ery poprzednika: »teraz odpuść służbę twego Panie, według słowa twego w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie twoje«.

Ażaliż się jeszcze na tym, czy już na innym cmentarzu tej chwili doczeka?...

VANITAS VANITATUM

»Odejdzie od was smętny Bóg domowy. Wiatr wam zawyje grobowemi usty ponurą klątwę, otóż dom wasz pusty«. Z niechęcią odrzuciłem ulubioną książkę, która mi zamiast ukojenia, przypominała tylko o nędzy i cierpieniach, zamiast unieść w krainę złudzeń czarownych, darzyła tylko prawdą. »Otóż dom wasz pusty« — pustkę bo też jeno widziałem naokoło i pustkę czułem w sobie. Na dworze wył groźny wicher północny, miotając w źle dopasowane szyby potoki śniegu i dżdżu drobnego. Słaby promyk jednej świecy drżał za każdym silniejszym burzy targnięciem, migocąc fantastycznie wśród kłębow gęstego tytuniowego dymu. Cięższe

jeszcze i coraz ciemniejsze myśli kłębiły się leniwo w skolataną głowie.

Przez długie godziny gwarzyliśmy o biedach ogólnych i osobistych. Na tle smutnem cierpień powszechnych, nasze troski wydawały się bardzo liche, bardzo mizerne, ale właśnie w swej marności niezmiernie bolesne i upadające, a jakoś dziwacznie z sobą i pasmem ogólnych udręczeń splecione. Uznanie wszakże wspólności ciężkich losów nie krzepiło nas wcale, bóle »nie spajały się w zamęcie«, a przedłużająca się do późna rozmowa, napawała tylko żółcią i goryczą, obudzała wstręt wzajemny i bezsilną pogardę dla własnej nędzy i niedołęztwa. Po każdej gorzkiej tyradzie, po każdym wymęczonem zdaniu, coraz ciężej gniotło nas to rozpaczliwe, a zarazem zrezygnowane, lecz w swej rezygnacyi okropnie bolesne pytanie: »co robić?«

I teraz oto, kiedy zostałem sam, brzmi

mi ono w uszach i mój umysł męczy. Słyszę je w ponurem zawrocie wicheru, w brzęczeniu jakiejś ostatniej zagryzanej przez pająka muchy, w szeleście przewracanych kartek, widzę je, jak rośnie przedemną w sfinksowej postaci i domaga się odpowiedzi. I próżno przeczucam w głowie zwietrzałe i pyłem okryte archiwum wspomnień, próżno szukam odpowiedzi w opustoszałej świątyni przykazań, próżno grzebię wśród wytartych ogólników codziennej prozy, nie ma jej nigdzie, nigdzie mi nie znaleźć czarownego słowa prawdy, któraby duszę pogodą natchnęła, a uzbroiła dłoń w czynu potęgę. Dym kłębi się w chaotyczne chmury i chaotycznie kłębią się myśli.

Co robić? Ale dlaczego potrzeba coś zrobić, dlaczego z takim bolesnym wysiłkiem szukać klucza do tej marnej i głupiej zagadki, która się życiem nazywa? Życie jest tylko walką o byt,



której towarzyszy pewność porażki. Jak muchy są tworzone na to, aby pożeraniemi były przez pająki, tak ludzie aby ich pożerała zgrzyzota. Wszelka radość to złudzenie i to złudzenie dobrowolne i podłe, bo przecież, by się weselić trzeba zamknąć oczy na powszechne klęski, a uszy zatkać na powszechne jęki. *Ad te clamamus in hac lacrimarum valle.* Ale któż tego wołania usłucha, kto i co uwolni nas z tego padołu łez? Nie-szczęśliwym zostaje jedna deska ocalenia — nadzieja śmierci. Do tej strasznej bogini modlą się znękani o litość, spokój i wyzwolenie. Jestżeż ta nadzieja uprawnioną, a ta bogini modłów godną? Skąd wiemy, że umrzeć to znaczy nie istnieć, lub istnieć jakoś inaczej, lepiej, potężniej i doskonalej. A jeżeli ten pewnik jest takim samem złudzeniem jak i inne, znane nam prawdy, jeżeli ta blada i groźna postać, w której rodzaj ludzki uosabia odwieczną siłę śmierci,

jest taką samą lichą, blagującą kurtyzanką, jak i inne utwory fantazyi człowieka, jeżeli tak kłamie jak miłość, tak zawodzi jak prawda, tak frymarczy jak cnota? Jeżeli, oddając się objęciom śmierci, do spoczynku rozżęsknieni, niebytu żądni, przechodzimy tylko do innego życia, życia jeszcze podlejszych bólów i jeszcze nikczemniejszych cierpień?

Samobójca, z przyłożonym do skroni rewolwerem, zanim za cyngiel pociągnie, z jakąś cierpką rozkoszą myśli o tych, którzy jeszcze wierzą w szczęście, w miłość i ideały, a w gorzkim poczuciu swej wyższości, z dumą równą bogom istoty, spogląda na marne życia ułudy. Szalony, zwątpiwszy o życiu, uwierzył śmierci, uwierzył w powagę i szczerłość tej obłudnej potęgi, której w rzeczywistości człowiek nie zna, ani poznać może. Bo i w czemże śmierć jest od życia pewniejszą? Że nas nie mija, ale

przecież nie mija nas i życie, i jeżeli jest ono bezcelowem szyderstwem z naszych uczuć i pragnień szczęścia, to czyż i śmierć nie jest zaprzeczeniem spokoju, którego od niej wyglądamy?

Skąd bierze źródło strach śmierci? Jeżeli śmierć przynosi nam w darze nicosć, strach ten byłby tylko śmiesznem złudzeniem, bo jakżeż bać się tego, czego niema; ponieważ jednak strach śmierci istnieje, jako instynkt pierwotny, coraz potężniej uwydatniający się wraz z doskonaleniem się form zwierzęcych, to czyż nie może on być przeczuciem życia daleko gorszego, niż to, jakie nam jest znane? Dlaczego wyobrażamy sobie, że ten inny świat po za granicami zmysłów, jest doskonalszym od naszego i że istnienie pozaświatowe jest wyższą formą istnienia? Któż z nas coś wie o wieczności i nieskończoności, kto je sobie wyobrazić potrafi? A być może ta wieczność i ta nieskończoność, to coś

tak marnego i plugawego, że leżą one poniżej naszych zmysłów, że nawet w naszym nędznym umyśle miejsca dla nich niema, a w takiej odczuwanej, chociaż nie dającej się pojąć głębi upodlenia i bólu właśnie nas śmierć pograża, blademi usty kłamiąc obietnice spokoju i ciszy. O śmierci, ty podła larwo trupa, mroząca swym wyszczerzonym uśmiechem chwile szczęśliwe, jako marność nad marnościami, ty sama jesteś marnością i oszukaństwem. Czcic ciebie zdolne tylko słabe dusze, które twa kłamana powaga uwiodła, które nie mają śmiałości wyznać, iż człowiek nie może mieć nadziei ani życia, ani śmierci. Bo i na świecie i po za światem dola ludzka to tylko rozpacz beznadziejna.

Ale jeżeli istnienie świadome jest ciągłą, chociaż zmienną formą bólu, to czym jest to, co jest, lecz nie istnieje, czym jest byt kamienia, czym jest byt tej sofy, na której leżę, tego papieru,

który przewracam? Jeżeli świadomość i czucie jest wiecznym przekleństwem i synonimem cierpienia, o którym nie wiemy, ażali nie jest bez końca, to czyż nie jest byt nieczującej, nieżywej przyrody szczęściem? Czy nie mamy prawa wzywać siły, któraby zdolną była zniszczyć życie bez śladu, siły, tak potężnej, a zarazem tak zrozumiałej i jasnej, iżby działanie jej nie mogło wątpliwościom podlegać? Ale czyż umysł ludzki może pojąć niewątpliwe prawdy? Wątpić, to znaczy myśleć, ale czyż zrzekając się wszelkiego pojmowania, nie mogę przynajmniej pragnąć nicości, bole życia koić marzeniem, że po mnie pozostanie tylko pył i nicłość.

Głowa mi pękała i wyraźnie doznawałem uczucia, jakbym się zapadał w otchłań bezdenną i chłodną. Powoli, chociaż miałem otwarte oczy, zacierają się przedemną otaczające przedmioty, nikięły nawet moje własne członki, tę-

żały i jakby ścinały się wirujące myśli. Czy to ja umieram, zapytywałem siebie ostatkiem jaźni, ale w chwilę potem już nie odczuwałem jaka być może różnica pomiędzy życiem i śmiercią, wątek mych myśli przerwał się, zapomniałem o co mi chodziło, nie czułem siebie i nie czułem się sobą. A jednak nie byłem niczem.

Czem byłem nie wiem i opowiedzieć nie potrafię. Słowo to tylko błąd odbłask tego chwiejnego i słabego płomyka, który się myślą nazywa, a umysł ludzki to jakby instrument zepsuty, którego klawiaturę próżno dotyka ręka mistrza, bo połowa klawiszy milczy, to jakby zdezelowana harfa eolska, którą próżno trącają pieściwe wiatrów podmuchy, bo ona brzmi zawsze jednako i zawsze fałszywie, a pamięć ludzka, to jakby stłuczone i starte zwierciadło, które wszelkie obrazy tłumi i miesza, skrzywia i hańbi. Więc gdybym nawet

pamiętał to com czuł, to jakże to pomyśleć i jakiemż wyrażę słowami? Pomnę tylko niewyraźnie, że nie był ten stan zupełnie mi nieznanym. Parę razy w życiu świadomem doświadczałem uczucia strachu, nie tego strachu przed jakimś zrozumiałem i znanem niebezpieczeństwem lub przykrością, nie strachu nawet przed śmiercią, z którym się oswajamy, ale tego okropnego stanu, gdy wobec czegoś niepojętego, nadprzyrodzonego a wrogiego, jaźń nasza zdaje się rozkładać, myśl drętwieje, krew się ścina w żyłach, a włosy dębem stają.

Strach taki, tylko daleko ostrzejszy, daleko okropniejszy ogarnął mnie wtedy. Czułem, jeżeli to można nazwać czuciem, jakby nadprzyrodzoną zgrozę, sprawiającą jakiś głuchy, tępy ból, z którego zdać sobie sprawy nie można, jakby niezrozumiałą okropność ciążącą nad wszechświatem. I czułem powszechność tego stanu, czułem zarazem straszliwy

wysiłek całej przyrody, jak w ciemnościach bezświadomości próżno się targa, próżno kołacze, próżno się uwolnić stara. Czułem, jak męczy się głucho każdy kamyk, każda kropla wody, jak rozkłada się i rozsypuje każda nieżywa, bezbronna materyja pod naciskiem wszechświatowego lęku. Była to jakaś rozpaczliwa praca w przepaściach martwoty, jakiś ponury szum elementarnych atomów, gnanych do życia, do stawania się okropną siłą wszystko przenikającej zgrozy.

I wyraźnie już poczułem, że i mnie wichur szalony wyrwał nagle z tej otchłani, że odzyskuję świadomość życia i osobistości pocucie. I jakkolwiek natychmiast powróciło mi zrozumienie całej fatalności bytu, całego ogromu cierpień przeciążających ród ludzki, to jednak uczucie tego świadomego i zrozumiałego bólu, było błogą rozkoszą wobec okropnego stanu uciśnionej bez-

świadomości. I zdało mi się, że zrozumiał zagadkę świata, zdało mi się, że w najciemniejszych głębinach duszy słyszę jeszcze niewyraźnie straszliwe echo niehumanicznych jęków przyrody, która w okropnym wysiłku dążąc do uświadomienia się i ujęcia, wytwarza coraz dalsze i coraz doskonalsze formy życia, aż wreszcie stwarza człowieka.

Przecież buntuje się i wyrzekam, myślałem, jeżeli zadaniem człowieka jest cierpieć świadomie i w tej świadomości coraz dalsze i szersze kręgi wszechświatowego ogarniać bólu? Formy bytowania świadomego, to formy o wyższej energii, to wzrastająca możność oporu i samodzielnego czynu. Nie po to więc przyroda najpotężniej człowieka uzbraja, by się poddawał biernie fatalnościom losu i gnuśniał w gorzkim uczuciu cierpienia, ale by szerzył królestwo świadomości, królestwo światła, wiedzy, bo w tem jest wyzwolenie...

Więc droga życia to twardy gościniec samowiednych i samodzielnych czynów?

I znów przed oczyma ducha wyrosło mi zagadkowe zapytanie: co robić? Co robić, gdy logiczne rozumowanie o skuteczności wysiłków wątpić każe? Jak zdobyć się na czynną energię, gdy robak zwątpienia toczy umysł, a pajak smutku serce zasnuwa, w czym szukać dźwigni utajonej i źródła wewnętrznej siły?

Ostatni połysk świecy padł na białe karty odrzuconej książki: »Dwie są melancholie — wyczytałem — jedna z mocy, druga ze słabości, pierwsza jest skrzydłem ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się. Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje, bo jest czas żywota dla ludzi silnych«.

I nagle wśród fantastycznie tłoczonych się cieni, które wkoło rzucał płomień gasnący, ujrzałem wielką, wspaniałą postać, otoczoną nimbem aureoli bożej i jakby miłośnie obejmującej sym-

bol cierpień wszechświata — olbrzymi krzyż. Ciemności bezładnie przewalały się wkoło Niego, cienie czepiały się Jego szat rozwianych, a On szedł, wskazując drogę wyzwolenia, uczuciem wszystko ogarniającej miłości potężny, pod ciężarem swym nieugięty, spokojny i spokój czyniący... Świeca zgasła i widzenie znikło. Na dworze była cisza, a przez szyby przedzierał się blady odbłask śniegu, który grubą warstwą przysypał ziemię, jakby okrywając ją do snu i spoczynku. A z promieniami tego martwego światła, płynął ku mnie i wnikał w dusze jakiś zaświatowy głos; kojąc cichemi słowy umysł znękanym.

»I tyżeś zwątpił o Mnie, synu, i tyżeś zwątpił, że przez męki i trudy, przez czyny wielkie i cierpienia świat dąży do krainy niezmaconej ciszy, gdzie świeci światłość wiekuista i trwa odpoczynek wieczny. Wstań, weź krzyż swój i idź w życie».

---

CUSTOS QUID DE NOCTE

Właśnie skończyłem ostatnie dzieło Zoli, prozaiczną pieśń ubóstwienia szarego, ale nieśmiertelnego, bo wciąż odradzającego się życia, szarej, ale zdrowej i uzdrawiającej pracy. W myśli brzmiały mi potężne, chociaż spokojne akordy, którymi mistrz zakończył swą dwudziestotomową symfonię, przenikniętą łzami, krwią i błotem, brzmiały słowa, które zdawały się spajać w jedną syntezę i usprawiedliwiać nieśmiertelną życia mocą wszystkie smutne, brutalne i wstrętne obrazy rougonowskiej epopei i czytelnikowi, po długich i wielokrotnych nerwowych targaniach, głęboki spokój ducha przywracać.

Stało przedemną na półce w zwanym szeregu 19 tomów dzieł Zoli, do

których gotowałem się dodać i ten dwudziesty »Doktora Pascala«, najprzód jednak chciałem się podzielić z nim myślami z mojem drugim ja, z moim *alter ego*, jak nazywałem go w chwilach rozdrażnienia, zarzucając, iż pozbawion on jest samodzielnego bytu, lecz może być tylko moim cieniem i wcieleniem sprzeczności moich poglądów. *Alter ego* snadź również uczuwał konieczność natychmiastowej wymiany zdań, bo wyzywająco i ironicznie spoglądał na mnie, na żółty tomik, który trzymałem w ręku i na 19 innych.

»No, więc chwał i dowódź«, drażniło mnie jego kołące spojrzenie, a »zobaczysz, że wszystkie twe argumenty w niczecz obrócę«. Ciepły zmrok zwolna nasyczał pokój, zacierając ostre kontury odczucia i jakby ścieląc pole walki w oderwanych sferach idei.

»— Tak jest«, przerwałem milczenie, odpowiadając domyślnemu wyzwaniu,

»tak jest, chylę czoło przed twórcą tego 20-tomowego dzieła, nie tylko jako przed żywicielem łaknącej duszy ludzkiej. Oto przez ćwierć wieku grzebał ten talent potężny w prozie i błocie, przez lat 25 szukał w sercu własnem i w brudnym otoczeniu okruszyn duchowego chleba i oto dzisiaj podaje go zgłodniałym. Chleb to z ościami, czarny i twardy, istotny chleb nędzarzy, jakimi jesteśmy u schyłku wyczerpanego stulecia, ale pokarm to posilny i zdrowy, i kto go pożywać i strawić zdoła, ten nie umrze, lecz dźwignie się wzmocniony na nowe trudy i walki. Pomnisz, jak na szkolnej ławie przed 20 laty wydzielaliśmy sobie pierwsze dzieła Zoli, szukając w nich z niezdrową ciekawością jaskrawych obrazów i bezczelnej treści, jak stopniowo z wiekiem poiłiśmy się gorzkim smutkiem nad upadkiem i zbeszczeszczaniem natury ludzkiej w obrazach tego pisarza, jak po-



woli w naszych oczach niemal ten cyniczny pesymista, ten zropaczony lubieżnik wzrastał w moc i siłę, jaką grozą przejmował nas w »Germinalu«, jaką natchnąć umiał pogardą w »Pieniądzu«, jaką litością i szczytnym bólem wzruszał w »Debacle'u«, i jak z życiem godził się w »Pascalu«. Czy nie widzisz, jak ten twardy szermierz rzeczywistości ukazuje nam powoli wśród otchłani, błota, krwi, gruzów, rozpusty, i obłędu, jasne błyski zdrowia, nadziei i prawdy poziomej może, ale za to istotnej i wysnutej z życia.

Patrz oto w *Joie de Vivre*, zapoznana, wyzyskana i oszukana Paulina, dusi gorycz w duszy i trwa na stanowisku, ażeby dla przyszłości wychować dzielnego pracownika, oto wśród ruiny materialnej i podłego krachu rozspekulowanych graczy, zawsze spokojna i wierna sobie »Caroline« nie upada na duchu i nie przeklina, ale wierzy w po-

tęgę życia czynnego, wierzy, że »nawet trujący pieniądz jest zaczynem wspólnego społecznego rozwoju, że poza lawą błota, poza temi ofiarami, poza wstrętnymi cierpieniami, któremi ludzkość każdy krok naprzód okupia, jest jakiś cel daleki i niejasny, jakaś kraina dobra i sprawiedliwości, do której nieświadomi dążymy«; oto po okropnym upadku, po scenach mordu, pożogi i zniszczenia, ten najuboższy, najprostszy chłop, Jan, idzie spokojnie w przyszłość, gdzie go oczekuje twarde i wielkie zadanie odrodzenia zdruzgotanej ojczyzny, oto nakoniec w tem najpiękniejszym, najszczytniejszem dziele mędrzec prawdziwy, zdrowie moralne znękanym umysłom przywraca. »Dziecię moje — mówię Pascal — i tyż się życia boisz. Och, poznaj życie, pokochaj życie, pokochaj je i przeżyj takim jakim jest, boć niema na świecie innej mądrości. Oto ten biedny i nędzny świat codziennie się zba-

wia przez miłość, przez olbrzymią nieustającą pracę wszystkiego, co żyje i płodzi się w przestrzeni. Ach, po tylu zawodach, po tylu nędzach i bólach, życie nie obawia się nanowo tworzyć w zuchwałem poczuciu swej nieśmiertelności. I prowadzi dalej swe dzieło w nieskończonym trudzie i pomimo tylu chorych, obłąkanych i potwornych istot nie nuży się tworzeniem, zdążając ku przyszłemu przyjsciu mądrych i zdrowych». Tak mówi Pascal, a czy nie widzisz w ostatnim obrazie zamykającym dzieło, w obrazie matki karmiącej niemowlę, »symbolu nadziei ludzkich pokoleń uosobienia wiary w odrodzenie przyszłe.

A czy słyszysz wreszcie ten głos mistrza, zachęcający młodzież do uznania obowiązku pracy, jako prawa natury, jako jedyne sposobu utrzymania zdrowia cielesnego i duchowego. W otchłani nędzy, bólu i podłości, zdobył ten mąż niezachwiany miłość życia i wiare w pra-

cę, otaczając ją aureolą odwiecznych przeznaczeń i oto na przełomie dwóch wieków i dwóch światów wskazuje on zbłąkanym i łaknącym drogę, mówiąc: »smutnem jest życie, brzydkiem i podłem, ale ono jedno na świecie tylko *jest*, kochajcie je więc takim, jakim jest, nawet gorszem niżli jest, i pracujcie, wierząc że przez pracę pokoleń kiedyś lepszem się ono stanie« ...

— Dość już, przerwał mi *alter ego*, filozofię tę znam i zna ją świat od lat trzech tysięcy. Wygłosił ją jeszcze Ecclesiasta, mówiąc, że »człowiekowi nie masz nic lepszego, jeno weselić się z pracy swej, gdyż to jest dział jego, albowiem, któż go do tego przywiedzie, aby poznał to, co jest po nim«, — tylko kaznodzieja salomonowy rozumiał co trzymać o takim życiu i mawiał, iż »marność nad marnościami i wszystko marność«. Boć filozofia ta, to regulamin kaźni, to hygiena robót ciężkich, ale

nie dźwignia wolnej ludzkiej duszy. I fałszywą jest ta teoria moralnego samorodztwa, która w życiu samem jego przyczyn i usprawiedliwienia szuka. Zai-  
ste, jeśli nic innego nad ubóstwienie i nieświadome doskonalenie w drodze naturalnego doboru podłej rzeczywistości nie znacie, toć nie jest to chleb duchowy dla nasycenia moralnego głodu, ale gruz i piasek zlepiony śliną, który podajecie łaknącym. Kto wam zawierzy i was usłucha, ten dla życia wyrzeknie się życia powodów, ten gotów będzie *propter vitam vivendi perdere causas*, ten podobien się stanie mężowi wznoszącemu dom swój na piasku, »a gdy przyszła powódź i wiały wiatry i na on dom uderzyła, upadł i upadek jego był wielki«. Życie, które nie ma swego punktu ciężkości poza bytem jednostki, jest męką i marnością. Powiada mi twój mistrz »kochajcie życie, jakim jest«, a ja ci powiadam, kochajcie coś nad

życie, bądźcie gotowi życie dla tego czegoś poświęcić, boć to jedyne godło, które ludzkość z otchłani zwierzęcości do światła prowadzi, bo to wreszcie jedyne życia usprawiedliwienie. »Nic nie bywa ożywione, jeśli by nie umarło« — mówi Paweł święty, a ja ci powiadam ten tylko żyje, kto świadomie za coś umrzeć gotów, kto ukochał coś nieśmiertelnego, coś wymagającego nieraz ofiary życia, ten komu świeci gwiazda ideału. I bluźni twój mistrz, gdy łaknącej jego słów młodzieży nic więcej jeno pracę zaleca. Tak, powiedziałbym, pracuj kochana młodzi, ale przedewszystkiem pracuj nad zdobyciem sobie nieśmiertelnego ideału, pracuj abyś wewnątrznie przejrzała, abyś dostrzegła gwiazdę polarną ludzkich przeznaczeń w nieskończoności, a wtedy wyraźnie legnie przed tobą życia gościniec, ukochasz pracę nie jako gimnastykę dla zdrowia, ale jako potrzebę ducha, miłym ci się

stanie trud i mazoły, lekkim jarzmo życiowe. Zaiste albowiem prawdę żywą, chociaż innemi słowy, głosi ta księga: »Szukajcie królestwa niebieskiego, a wszystko inne będzie wam dane«.

I z grubym, czarnym tomem w ręku wyrastać się zdawał i potężnieć mój opo-  
nent, a 20 złotych tomików gdzieś znikło w gęstniejącym mroku.

— Tak — odpowiedziałem powoli — ale tem niemniej słońce ideałów dziś zgasło i nad światem rozpostarła się noc czarna. Ty utrzymujesz, że coś w tej nocy widzisz. Wyobraź więc sobie, mówiąc słowami tej księgi, którą trzymasz w ręku, że cię Pan postawił, jako stróża swego w mroku, a oto wołają cię jak proroka, zbłąkani, którzy zgubili dawne ubite ścieżki, wołają trwożni, którzy nic w ciemnościach nie widzą, wołają bojaźliwi, którzy próżno przed puszczaniem się w drogę życia, szukali gwiazd kierowniczych na niebie którzy

próżno wzrok swój wyteżali, wołają jak owi ludzie z Seir Izajasza proroka: strózu, co słycać w nocy, strózu co słycać w nocy, *custos quid de nocte, custos quid de nocte*. Cóż im odpowiesz?

— Tym, którzy idąc w ciemnościach nie widzą, tym, którzy błędzą, niezdolni oczu od padołu oderwać, powiedziałbym, legnijcie w mroku, wy ślepi i nędzni, abyście co rychlej zmarli i w pył się obrócili. Z kości waszych odkupiciel nie powstanie, ale zgniłym blaskiem próchna świecić one będą, na przestrozę tym, którzy po was przyjdą, aby snadź się podobnie wam nie obłąkali. A tej francuskiej młodzieży, która idzie naślęp w życie, powiedziałbym, iż jest jedna droga do wypracowania w sobie dźwigni do osiągnięcia ideału wyższego, droga, którą im wskazuje inny przewodnik. »Co do mnie« — mówił do tej samej młodzieży Ernest Lavisse — to wiem, iż gdybym się wyrzekł pewnych

uczuc i pewnych idei, przywiązania do rodzinnej gleby, wspomnień przodków i przeszłości, w której swe myśli i czyny odnajduję, gdybym nie czuł się atomem całości, której początek ginie w mroku dziejów, a przyszłość w nieskończoność sięga, gdybym nie doznawał świętego dreszczu przy dźwiękach narodowego hymnu, gdybym nie uczuwał dla narodowego sztandaru religijnego uwielbienia wyznawcy, gotowego na śmierć, gdybym zapomniał o narodowych bólach, to wtedy nie wiedziałbym po co żyję i co robię na tym świecie, bobym treść życia utracił». Tobym im powiedział.

— Słusznie — odparłem — aleć oni mogliby ci odpowiedzieć. Mistrzu, otoć kochamy naszą ziemię i przeszłość, otoć doznajemy świętego dreszczu, otośmy nawet umrzeć gotowi, aleć nikt naszej śmierci nie żąda, naucz więc nas jak

żyć mamy, jak czynić, bo »umrzeć śmiało dzisiaj mało, trzeba umieć żyć«.

— Hasło przeżyte — odrzekł — przeżyte, bo obłudne, zwiędło zatem zanim rozkwitnąć zdołało, a owocu nie przyniesie. Odpowiedź nań prosta. Kłamiecie wy, którzy mówicie o swej gotowości na śmierć, boć co innego śmierć w obłędzie bojowym, w nerwowym zapale, a co innego męska, świadoma gotowość ofiary największej i najmniejszej. Równie daleką ona jest od chorobliwego popędu do ofiar bezpłodnych, ku którym łącno słabe dusze dążą, jako i on małodusznej zgody z życiem, pod którą kryje się apoteoza wygodnego kwietyzmu. Kto istotnie i świadomie na śmierć gotowy, ten ma w ręku busołę życia, ten ma probierz czynności, ten jest silny i niezachwiany, ten żyje jak chce i dla czego chce. Wiele ludów w dziejach świata zaścielało trupami pola ojczyste, ale ten tylko się ostał,

który pod sztandarem swym kupił się nietylko w kurzawie bitew, ale zawsze i wszędzie, ten lud się ostał, który śpiewał »jeśli cię zapomnę, o, Jeruzalem, niech zapomni sama siebie prawica moja. Niech przylgnie język mój do podniebienia mego«. Kto istotnie na śmierć gotowy, ten gotowy i na małe ofiary, ten umie żyć. I dlatego powiem, trawstując słowa mistrza twego: »Tak kochajcie życie, ale nie dlatego, że ono jest życiem, lecz dlatego, że żyjąc, możecie dać świadectwo prawdzie, za którą umrzeć bądźcie gotowi«.

— Nie — odparłem — tego nie dość. Filozofia Zoli jest być może poziomą i niedostateczną, ale tę ma wyższość, że jest powszechną, że wszystkim wystarczyć może, twoja zaś stworzona jest dla wybrańców, którzy zdolni w wyższe sfery ideału się wznosić, potrafią dojrzeć, zrozumieć i ukochać dalekie światła na ciemnym stropie współczesnego nie-

ba, lecz nie dla mas, w mroku cierpiących, którym próżnobyś o odległych gwiazdach prawił, boć dla nich to tylko chłodne, obojętne na ból i jęki globy, a masom potrzeba albo ciepłego słońca na niebie, albo wyraźnej latarni na ziemi, więc gdy nic nie widzą, cierpią i pytają się trwożnie: *custos quid de nocte*.

— Tedy ci powiem. Prorok boży odpowiedział zrazu pytającym: »Oto upadł Babilon i wszystkie ryte obrazy bogów jego pokruszone są o ziemię, a pytającym powtórnie odpowiedział zasię, »iż przyszedł poranek«. Ale żeby tak oświecić tłumy, potrzeba być prorokiem i mężem natchnienia. Tacy byli i tacy przyjdą i lud z mroków w światło wyprowadzą, w to wierzę i to w dalekich gwiazdach czytam.

Cienie w rzeczy samej poczęły ustępować, ale nie był to poranek przez Izajasza zapowiedziany, jeno zgniła sza-

rzyzna polarnego świtu, długa, powolna i nużąca walka światła z mrokiem i mgłą, wśród której każdy przedmiot wygląda marnie, a każde słowo ginie bez echa. Spierać się dalej w tem półświecie było niepodobieństwem, to też umilkliśmy.



JERUZALEM

»Narody wszej ziemi przyjdą mu ofiarować modły, a grób jego stanie się sławny« — mówi psalmista (Ps. XI, 10). I oto, w rzeczy samej, niemal od dwóch tysięcy lat ciągną rzesze do Grobu Pańskiego, szukając na tem miejscu pokrzepienia, otuchy lub wrażeń potężnych. Jak silny magnes, ciągnie ku sobie Ziemia święta wszystkie serca znękanе, wszystkie dusze, żądne prawdy, wszystkie umysły religijne lub wiary łaknące. Jej czar, to owa historia ewangeliczna, historia największego w dziejach naszej rasy wypadku, zaklęta w jej górach skalistych, w jej blaskach słonecznych, w cichych rozłogach i ścieżkach stromych, po których stąpał Zbawiciel. Czar ów rozmaicie na ludzi działa, ale, będąc



sam w sobie zawsze potężnym, wywołuje, z natury rzeczy, potężne wrażenia, tak w duszach prostaczków, jakoteż w duszach ludzi wyższych. Jakże ciekawą byłaby antologia wrażeń z Ziemi świętej, spisanych przez różnych ludzi, w różnych czasach, jakżeby na olbrzymiem tle opisywanego przedmiotu dobitnie uwydatniły się różnice epok, ras i narodowości.

Z naszych wielkich poetów w Ziemi świętej był tylko Słowacki, w czasie swej na Wschód podróży. Niestety z jego wrażeń ocalał dla potomności zaledwie jeden, dość suchy list i ten oto fragment: »I porzuciwszy drogę światowych omamień, i wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste! Tu się rzuciłem z wielką rozpaczą na kamień, pod którym trzy dni martwy leżałeś, o, Chryste! Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była, ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu«... Z przedziwnego tego u-

rywka bije taka głębia uczucia, taka rzewność cicha, iż doprawdy niezmiernie żałować wypada, że poeta fragmentu tego nie ukończył, pozbawiając nas prawdziwego arcydzieła.

Nieco pokrewna duchem, ale jakżeż inna w swej formie, skarga »ani przeciwko ludziom, ani przeciw Bogu« brzmi w najnowszej książce francuskiego akademika, Piotra Loti, p. t. »Jeruzalem«. Jest to wiązanka wrażeń z podróży na Wschód tego autora, dalszy ciąg »Pustyni«, godzien bezwątpienia obok niej zająć artystyczne miejsce.

Książka czyta się jednym tchem. Mistrz słowa z zadziwiającą plastyką, kilku nieraz wyrazami, maluje nam biblijne krajobrazy, w dziwnym kontraście z szosami i kolejami żelaznymi, tradycyjnych beduinów, pomieszanych ze stadem banalnych »Cook'istów«, pielgrzymów z Rosyi z murzynami i t. d. i t. d. Pod czarem jego artyzmu widzi

się wszystkie miejsca święte, jeżeli nie w szczegółach, to w ogólnym wrażeniu.

Ale oprócz tej opisowej strony, jest w »Jeruzalemie« strona inna — wewnętrzna, wyraz zwątpień, walk i mąk autora wobec Grobu Chrystusa. Jest w tej książce smutek wielki, a przytem smutek współczesny. Cierpienie, które w dawnych organizacjach było młotem druzgocącym, albo hartującym ducha, jak stal najtwardszą, dziś stało się jakby szeregiem drobnych ukłóc, rozprówiających powoli powłokę duchową, z której energia życiowa ucieka. Ten właśnie szczególniejszy odcień współczesności w cierpieniu zbliża nas z autorem, każe we własnej istocie szukać ech jego rozmyślań, nieraz ułomnych, nieraz nieszczerých, ale wysoce charakterystycznych dla zmęczonej duszy najnowszego pokolenia.

Odsyłając więc czytelnika po wrażenia artystyczne do samej książki Lo-

ti'ego, poniżej pozwalam sobie przytoczyć kilka najbardziej wydatnych ustępów z tej męczącej auto-analizy.

\* \* \*

Autor, po przybyciu do Jeruzalem, udaje się do świątyni Grobu Pańskiego, gdzie go uderza ogromna ilość pobożnych pielgrzymów i nieustające nabożeństwa, patrzy na to i rozmyśla:

»Od dwóch tysięcy lat odbywa się na tem miejscu służba boża, wedle rozmaitych rytuałów, pod stropem rozmaitych świątyni, z przerwami w czasach obłężeń, walk i rzezi, ale z tem namiętniejszą potem i powszechniejszą gorliwością, wciąż brzmi tu chór modłów, głęboki jęk błagań rozpacznych, lub tryumfalny hymn podziękii za doznane łaski i cudy.

»Ach, zapewne hołdy owe są nieco zbyt pogańskie w stosunku do tego, który rzekł: »Bóg jest duch, a ci, któ-

rzy go chwala, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie». Są one jednak tak ludzkie, tak naszym instynktom i nędznej naturze właściwe. Bez wątpienia, pierwsi chrześcijanie, w czysto duchowym rozkwicie swej wiary, gdy nauka mistrza przenikała jeszcze ich dusze, nie lubowali się we wspaniałych symbolach i obrazach. Przedewszystkiem zaś nie mogły ich przykuwać wspomnienia ziemskie miejsca męki i grób pusty, w którym nie szukali Odkupiciela, czcząc go w wiekuistym świetle, nie zaś w przemijających objawach doczesnego życia. Ale my, my wszyscy, ludy Zachodu i Północy, my stoimy bliżej naiwnego barbarzyństwa, niż społeczeństwa starożytne, i gdy w wiekach średnich nowa wiara przeniknęła pod cienie borów naszych, omroczyły ją tyśiące pierwotnych zabobonów i niewielu tylko z nas danem było uwolnić się z pęt tradycyjnych i powrócić do religii

ewangelicznej w duchu i prawdzie. A zresztą, gdy w naszych duszach nowoczesnych zgaśnie wiary pochodnia, jeszcze owo, tak czysto ludzkie, przywiązanie do miejsc i wspomnień wiedzy tu niewierzących w rozdzierającym żalu za straconym Zbawicielem.

»O Chryste! do którego grobu wszystkie te płaczące tłumy przyszły, aby się pokrzepić nadzieją, Chryste, który mnie nawet w tem miejscu zatrzymujesz w słodkiem skupieniu ducha... gdybyś był tylko jednym z naszych braci w cierpieniu, w otchłani śmierci pograżonym, niech Twa pamięć będzie ubóstwiana za to długie złudzenie miłości, zmartwychwstania i nadziei. I niech będzie wiekuiście błogosławionem to miejsce, to jedyne i szczególne miejsce, zwane Grobem świętym, może sporne, może nawet zupełnie nieprawdziwe, ale miejsce, dokąd od półtora tysiąca lat spieszą rzesze znękane, gdzie zatwardziałe

serca jak śnieg tają i gdzie nawet moje oczy zachodzą łąką modlitewną, zapewne bardzo nielogiczną, ale niewypowiedzianie słodką...

...»Czyż albowiem doprawdy możliwym jest, aby te niezliczone błagania, chociażby nawet dziecinne, chociażby pogańskie i barbarzyńsko-naiwne, przez nikogo nie były słuchane? Bóg, albo niech nawet tylko najwyższe prawo istnienia, mogłoby pozwolić na narodzenie istot tak męczonych cierpieniem, tak łaknących wiecznego bytu, po to tylko, ażeby je w nicość pogрузić? Nigdy może całe głupie okrucieństwo tego przypuszczenia nie wydało się tak jasno niepodobieństwem i rozumowanie tegoż niepodobieństwa dowodzące, którem miał za pustą słów igraszkę, nabrało w oczach mych pozorów siły wobec nędzy ludzkiej, skupionej przy świętym Grobie, budząc w głębiach mojej własnej istoty, w sposób słodki i nie-

oczekiwany, dawno obumarłe nadzieje. I błogosławiłem prostaczkom, szepczącym w mroku pokorne modlitwy, za to nieoczekiwane dobro, jakie mi uczynili«.

»Gdybyś był tylko jednym z naszych braci«... oto nuta zasadnicza tego ustępu, naturalnie więc autor szuka po Jeruzolimie przedewszystkiem ludzkich śladów Chrystusa. Okazują mu wykopaliska w klasztorze Córek Syonu. Wiadok ich nasuwa mu takie wrażenia:

»Co przedewszystkiem uderza w tych wykopaliskach, to przedziwny, stary bruk, te wygładzone kamienie, które przez wieki zachowały pod ziemią ślady stóp. I oto nawet na jednej z płyt nieudolnie wryta gra w kości, takąż, jak za dni naszych, którą żołnierstwo rzymskie zabawiało się w wolnych chwilach. Drobnym ten szczegół jest dziwnie przemijający i zda się prawie, widzę żołdaków Piłata schylonych nad tą zabawą, podczas gdy Jezusa badają w Pretoryum.

Wszystkie szczegóły męki wstają przedemną jak żywe, bez tej aureoli, jaką ich otoczyły wieki, jakby zmniejszone, jak zwykle wszystkie zdarzenia, widziane w chwili spełniania się i sprowadzone do rozmiarów właściwych. Sunie przedemną korowód skazańców, dźwigających swe krzyże po tym czerwonym bruku. O brzasku dnia pochmurnej wiosny judejskiej, przechodzą właśnie wśród murów, których ręką dotykam, w otoczeniu zgrai gapiów i włóczęgów, a za nimi bojaźliwie i w oddaleniu nieliczna gromadka niewiast i uczniów, którzy w niepokoju i we łzach czuwali noc całą około ogniska. Zdarzenie, które odnowiło świat, które po 1.900 latach ściera do Jeruzalem tłumy pobożne, aby na klęczkach całowały te brudne kamieniska, wydaje mi się drobnym wypadkiem, z którym się załatwiano pospiesznie i bardzo wczesnie, w mieście, którego codzienne życie było

zaledwie tem wszystkiem poruszone... Nigdy się nie czułem tak po ludzku blizkim Chrystusowi-człowiekowi, bratu naszemu, który w nim żył i cierpiał...

...»Dziwna to i jedyna droga, która nagle ginie w grubym, jeszcze nie rozkopanym murze, wskazując na Kalwaryę, jakby gestem już skruszonym i uszkodzonym, ale wyraźnym i niezaprzeczalnym. I jak wzruszającym jest oglądanie tych miejsc, które zachowały ślady z przed dwóch tysięcy lat i gdzie bezwątpienia stąpił Chrystus, przytłoczony krzyża ciężarem!

»Cóż szukacie żyjącego pomiędzy umarłymi?« rzekł anioł, zwiastujący Zmartwychwstanie i słowa te stały się jakby hasłem dla chrześcijan ewangelicznych, dla których święte miejsca prawie nic nie znaczą. Ale przestał do chrześcijan należeć, a żem nie mógł iść z tłumem, co pogardza lub zapomina Chrystusa, spadłem między tych,

którzy Go rozpaczliwie szukają pomiędzy umarłymi. I ścigam tutaj jego matkę, być może nieistniejącą, ale tak słodką i boską. I podpadam czarowi Jego pamięci, jedynej wśród ludzi, która zachowała moc wyciskania łez dobroczynnych. I pogrążam się i korzę się w głębokim skupieniu, przed tym ponurym, wczora wykopanym głazem, na którym stawał być może Jezus ostatnie swe kroki, gdy o brzasku dnia szedł znękany i trwożny, jako i najpośledniejszy z nas, ku wielkiej tajemnicy swej śmierci «...

Ale wrażenie to niedługo trwało. Wymęczona na sobie pokora, nakazana nerwowo cześć i miłość dla Tego, kogo się ma za złudzenie, sztuczna religia ubóstwianej pamięci tylko człowieka, są zbyt słabą zaporą, nawet przeciwko słabej fali płytkiego sceptycyzmu, który przenika dzisiejszą atmosferę umysłową i do każdej duszy się sączy. Przy brzasku dnia, od dźwięku surm tureckich, pod

naciskiem bardzo banalnych i powszechnie znanych ogólników, pierzchły wiotkie mary nowych wierzeń Loti'ego i po kilku dniach pobytu zapisuje już on następujące uwagi:

»Zwiedzałem dziś rozmaite starożytności Jeruzalemu: zwaliska Ofel, pałac Dawidowy i inne... I znalazłem wszędy straszliwe rumowiska przeszłości, ale nigdzie Chrystusa. Zresztą niemal już przestałem ścigać jego pierzchające wspomnienie i pędzę tu dni niemal tak samo, jakby w jakimkolwiek innym mieście... A zatem miałbym nic nie znaleźć, czegom się nieświadomie spodziewałem, nic dla braci mojej, nic dla mnie, czegom niemal oczekiwał z naiwną ufnością dziecięcą? Nic?... Marne podania, które lada krytyka obala, w rytuale wspaniałość wiekową, bijącą w oczy, jak wszystko o wschodnim kolorycie, ale przenikniętą bałwochwalstwem, być może do łez wzruszającym, ale zarazem

zbyt już dziecinnem, a nieraz niesmacznem. Oh, któż zgłębi mą nieskończoną mękę w godzinach wieczornej ciszy, lub w godzinach nielitościwej jasności poranków! Coś zatem z tych prajcowskich nadziei drzemało w głębiach mego jestestwa, jeżeli teraz, wobec czczości mych ostatnich modłów, uczuwam, w nowy, dotkliwszy sposób, mroźny podmuch wiecznej śmierci... Nic więc na świecie nie może zastąpić Chrystusa tym, którzy choć przez chwilę w Nim żyli, jeżeli nigdy, nawet w najczarniejszych godzinach młodości, nigdy w godzinach zupełnego znękania, nigdy w minutach rozstania, nigdy, nawet przed mogiłą, nie czułem tak żywo, jak obecnie, tej zgrozy wobec pustki niezaprzeczałnej, bezwzględnej i wiekuistej... Gdy tak czuję, jak resztki złudzeń we mnie nikną, drogie twarze zmarłych wstają w pamięci mej, jakby chciały przestać mi ostatnie pożegnanie. A przecież mnie-

małem dotąd, iż żyję sobie bez żadnej nadziei, tak przynajmniej mi się zdawało, jak się i wielu zdaje, którzy mają się za niewierzących, a jednak w duszach ich tli jeszcze jakaś resztką prastarej przodków ufności. I oto teraz, gdy Chrystus już dla mnie nie istnieje, gdy go postradał, ukochane postacie, które w Nim zasnęły, nikną przedemną, jakby się cofając w otchłań nieskończoności, bom je utracił także na wieki pod pyłem zapomnienia. Po śmierci i w życiu wszystko się dla mnie nieubłaganie skończyło«...

Znużony wewnętrzną rozterką, udaje się autor, przechodząc przez dolinę Józefata, jakby na ostatnią próbę na nocne rozmyślanie do Oliwnego ogrodu, i ze wspaniałym artyzmem maluje efekty światła księżycowego na spustoszonem cmentarzysku i ponury mrok murów Jeruzalemu. Idzie, by się modlić i we

własnem sercu śledzić wrażenia modlitwy:

»I wreszcie po tylu wahaniach otom jest na Getsemani wśród smutnych drzew oliwnych i skał. Rzekłem janczarowi, który mi towarzyszył: »Oddal się, aż cię zawołam« i odszedłszy, rzucam się na ziemię u stóp tysiącoletniego drzewa. Jednak nie doświadczam nic szczególnego. Czekam na coś nieokreślonego, czego się nie spodziewam — i nic we mnie nie wstępuje, i dumam z sercem zakamieniałem, i w smutku pogrążony. A przecież modlitwa moja, chociaż niewypowiedziana, była błagalną, a przecież otom przyszedł, jako pielgrzym z otchłani męki. Nic — nikt mnie nie widzi, nikt nie słucha, nie odpowiada. Czekam, a chwile mkną i oto rozbite są ostatnie me głuche nadzieje, oto marność nad marnościami, próżnia i pustka, w której się pogrążam. I wówczas ostrym głosem wołam na

janczara, który cierpliwie czekał w oddali: »Chodź, skończyło się, wracajmy«. I z duszą zawiedzioną, spustoszałą na zawsze, zgorzkniałą, idę ku starym, w żelazo okutym wrotom, wracając ku Jeruzalem«.

Mija znów dni kilka i oto nowy prąd duchowej fali. O zmroku przed wyjazdem, Loti przeciska się bez przewoźnika na pożegnanie do Grobu Pańskiego, gdzie znów widok tłumów, rozpacznie się modlących, czyni na nim mniej potężne, ale jeszcze bardziej rozczulające, niż za pierwszym razem, wrażenie.

»Ach, zaprawdę, dobrą częśćkę wybrali ci, którzy, nie rozumiejąc, modlą się. I czynić, jak oni, być może, nie jest niepodobieństwem nawet dla tak skomplikowanych i sceptycznych istot, jakimi jesteśmy, czynić, jak oni, nie przez prostotę, boć, niestety, utracona prostota nie powraca, ale, przeciwnie,



przez wyższy wysiłek rozumowania. Ani dogmaty niemożliwe, ani symbole czcigodne, lecz przestarzałe, wszysto to nie jest Chrystusem, wszystko to jeno dzieiectwo naiwnych pokoleń, więc widoczna ich marność przeciwko Niemu nie świadczy. On pozostaje zawsze zagadką dla każdego, kto sumiennie zbada teksty Pisma Świętego, a dopóki zagadka istnieje, nadzieja trwać może. Dziwnie krótkowidzący i śmiesznie pyszałkowaci są ci zwolennicy marnej, ludzkiej logiki, którzy ośmielają się z pewnością wnioskować wśród niezbadanych tajemnic wszechświata.

»Wiem o tem, iż jest nieskończona przestrzeń i niezniszczalna materya i niezliczona ilość światów, których istnienia zdaje się ani podejrywać Ewangelia. A nawet przypuszczając wedle krzyczącej hipotezy, aby Bóg zajmował się takim pyłkiem, jak ziemia, taką nicością, jak ludzie, ileż trudności nieprzezwy-

ciężalnych dla rozumu ludzkiego... Ale Chrystus (och, to co powiem, wyda się bluźnierstwem dla wielu) — Chrystus, jako człowiek i jako człowiek swego czasu, może rozumiał swe posłannictwo Mesyasza, tylko symbolicznie, zgodnie z duchem Wschodu i tekstem ksiąg starego Testamentu. A Ewangelie, przekazując nam jego słowa, mogły je jeszcze zaciemnić. Nie był on przecież posłany, aby odkryć przed nami zasłonę przyczyn i celów wszechrzeczy, ale, być może, by biednej ludzkości przynieść błysk i wskazówkę wiecznego życia i zmartwychwstania po śmierci. Cóż znaczy trochę więcej niepodobieństw, jeżeli nigdy sami przez się nie poznamy, ani zrozumiemy przyczyn naszego bytu. A nad mglistą kłębią życiowych złudzeń świeci Jego słowo miłości, słowo życia. Niech odejmą nam to słowo, to słowo, które On jedyny na naszej ziemi ubogiej ośmielił się wyrzec z nieskończeniem

tajemniczą pewnością, jeżeli nam je odejmą, nie pozostanie więcej nic, a bez tego krzyża i tej obietnicy, co świat oświeca, wszystko jest tylko próżną walką w mroku, ponurym marszem upiorów ku wiecznej śmierci. Nie zaprzeczają mi Ci, co choć raz w życiu uczuli miłość prawdziwą — miłość czystą, rodzicielską, dziecinną, braterską... Dla pysznych, dla obojętnych, dla cyników słowa te są niezrozumiałe...

»I oto powoli czuję, jak mnie przenika słodko-złudne uczucie usłuchanej i wysłuchanej modlitwy. A przecież sądziłem, że złudzenia tego nigdy nie doświadczę. Ukryty za filarem, płacząc na koniec, wylewam łzy nagromadzone w moich mękach poprzednich, w tych próżnych i zmiennych wypadkach, których się tyle w mem życiu pokrzyżowało. Każdy modli się, jak może, a ja lepiej nie umiem. Chociaż stoję w cieniu, oto z całej duszy mej korzę się

tak, jak ten stary chłop w zachwyceniu, jak ten żołnierz, który pełzał, całując kamienie. Chryste, Chryste, cokolwiekby czynili i mówili ludzie, Ty będziesz zawsze niewytlómaczony i jedyny. Gdy się krzyż Jego ukaże, gdy imię Jego głośzą, wszystko się uspokaja i zmienia, topnieją urazy, najtwardsze serca mięknią i litość czują. On marzenia nieporównane sprowadza i życie wieczne wieszczy. On jest Panem pociech niespodziewanych i księciem nieskończonej litości i przebaczenia.

»I w takiej chwili, jakkolwiek dziwnemby się to z mej strony wydać mogło, chciałbym wołać do moich nieznanych braci: Szukajcie go, próbujcie, albowiem po za Nim niema nic! Nie potrzebujecie na Jego spotkanie pielgrzymować do Jeruzalem, boć jeśli on jest, to jest wszędzie. I tymczasem błogosławię krótką chwilę, kiedym odyskał głęboką i niewypowiedzianą ufność

w Niego, tymczasem, zanim jutro odkryje mi otchłań próżni jeszcze ciemniejszą».

Tem wezwaniem do wiary czytelnika i głuchą obawą przed ponownem, własnem zwątpieniem w przyszłości, Loti kończy swą smutną książkę. Przekład mój, naturalnie, nie daje wyobrażenia o stylistycznych pięknościach oryginału, niemniej przeto sędzę, iż ducha rozmyślań autora i przewodnią ideę dzieła oddałem dość wiernie. A jakom się wywiązał ucziwie z obowiązków tłumacza i sprawozdawcy, niech mi wolno będzie opatrzyć wszystkie powyżej przytoczone poglądy francuzkiego akademika komentarzem własnym, pisanym bynajmniej nie ze stanowiska bezwzględnej, religijnej prawdy, ale z ogólnoludzkiego, świeckiego punktu widzenia.

Pisarz francuzki pozuje przed nami na Tantała, który pragnie żywej wiary,

pograża się w jej morzu, bałwaniącem się u stóp Grobu Świętego, ale ilekroć nachyli się ku ożywczej wodzie, tyle razy źródł ów przed nim ucieka, za ledwie kilku kroplami skrapiając spieczone wewnętrzną gorączką usta. Stąd jego i jemu podobnych, a takich ma być we współczesnym świecie wielu, męki i wewnętrzna rozterka. Po za Chrystusem niema nic, a jednak Chrystus jest złudzeniem, oto najprostsza formuła ich myślenia.

Otóż przedewszystkiem nie należy brać zbyt tragicznie tych mąk i sądzić, aby obraz mytyczny nękanego Tytana odpowiadał wiernie wewnętrznemu nastrojowi Lotiego i jemu podobnych. W tych umysłach niema nic tytanicznego. To nie jest harda dusza, łamiąca się ze swym żalem za utraconym rajem wiary, to raczej dusza chora; skarga jej, to nie jest głęboki a szczery jęk beznadziejnej rozpaczy, to nie jest

nawet mężka, spokojna świadomość Eklezjasty o absolutnej znikomości i marności życia, to raczej histeryczny spazm osłabionego ducha.

Istnieje ulubiony komunał, porównujący nasze czasy do czasów pierwszych Cezarów, kiedy w starożytnym społeczeństwie dawna wiara zupełnie zwietrzała. Komunał ten jest doszczętnie fałszywy. Z tysiąca dowodów wybieram jeden: ilość i charakter samobójstw dziś i przed dwoma tysiącami lat. Dziś odbiera sobie życie człowiek społecznie nieszczęśliwy; jest takich bardzo wielu, ale żeby ktoś w pełni powodzeń światowych przecinał pasmo dni własnych z powodu wewnętrznej rozterki, to obecnie należy do bardzo rzadkich wyjątków, podczas gdy w rzymskiej epoce było faktem jeżeli nie zwykłym, to i nie nadzwyczajnym. Silna, konsekwentna dusza starożytnego człowieka umiała ze swych rozumowań wyciągać obowiązują-

jące dla życia wnioski, chora dusza współczesna umie się jeno lubować we własnem cierpieniu. Dla tego wątpić trzeba, ażeby kiedykolwiek ów głód wiary, o którym tyle pisze Loti, stał się dla niego i jemu podobnych organizacyi śmiertelnym.

Co im wierzyć przeszkadza? Dogmaty, które nie mogą się ostać przed krytyką dość zresztą płytkiego racjonalizmu, bałwochwalcze obrządki i światowopotężna, wydyscyplinowana organizacya kościelna, tęsknią więc za kościołem czysto ewangelicznym, za jakąś abstrakcyjną religią w duchu i prawdzie. Otóż przedewszystkiem te idylliczne zachwyty Lotiego nad pierwszymi chrześcijanami i nad pierwotnym, idealnym kultem, jakoby następnie sfalszowanym i wykrzywionym, tłómaczą się tylko brakiem odczytania w historii kościoła. Wprawdzie o czci Grobu świętego w pierwszych latach kościoła pomniki

milczą, ale wszystkie inne pamiętki po Zbawicielu, całe jego życie ziemskie było przedmiotem nieustannej, fizycznej niemal czci pierwszych chrześcijan. Toż z uporczywością dziwną powrócili oni do gruzów i ruin zburzonej Jeruzolimy, aby tylko mieszkać w tych świętych miejscach, wraz z rzymskim żołdactwem. Aby się o tem przekonać, nie potrzeba studyować pisarzy religijnych, dowody znajdują się nawet i u Renana, zwłaszcza w dziełach *Les Apôtres*, *Les Evangiles*.

Powtórę wszystkie te racjonalistyczne zarzuty przeciwko religijnym dogmatom chrześcijaństwa, które stanowią domyślny podkład zwątpień Lotiego, znane były od lat niemal dwóch tysięcy, od pierwszych niemal wieków chrześcijaństwa uderzały rzekomo logicznymi formułami rozmaitych herezyi w osnowy kościoła. A jednak? A jednak kościół się rozwinął i dachem swym nakrył

cały świat ucywilizowany, a owe hereetyckie zarzuty nie stworzyły nic. Otóż jedno z dwojga, trzeba uznać albo, że pochod historyi odbywa się wogóle wbrew ludzkiej logice, albo, że kościół ma w sobie pierwiastki siły nad krytykę logiczną wyższej, w każdym razie, że racjonalizm czysty, wiedzą gruntowną nie poparty, jest orężem niedostatecznym. Kto swój sceptycyzm tylko na takiej podstawie buduje, ten wznosi gmach nietrwały i bynajmniej nie imponujący. I dla tego niewiara Lotiego nie wydaje mi się zbyt stanowczą, ani też beznadziejnie bolesną.

Dla czego jednak tacy ludzie do wiary tęsknią, czem ich postać Chrystusa czaruje? Zachwyca ich w Niej nieskończona litość nad nędzą ludzką, nieskończone uczucie dla bólów i trosk, cudowne miłosierdzie dla cierpienia i męki. Dusze, szczególnie wrażliwe na powszechnie nieszczęście świata, muszą u-

czuć nieprzeparty pociąg do Tego, który sam za cierpiących cierpiał. Oto dla czego tyle współczesnych organizacji artystycznych, pomimo powszechnego prądu niewiary, Ignie do tych stron chrześcijaństwa, marząc o stopniowym wykluczeniu zeń wszystkiego innego, oprócz tych pierwiastków współczucia i miłości. Marzenie to również nie nowe, i takie niedoścignione ideały błyszczą w historii kościelnej od półtora tysiąca lat, kościół jednak zawsze się poczuwał i do tej ziemskiej, społecznej swej roli, nigdy więc ideałów klasztornych całemu światu nie narzucał.

Niewątpliwie albowiem chrześcijanizm jest szczytną religią miłości i miłosierdzia, ale zarazem jest religią energicznej działalności, potężnego czynu. Kto chce sprowadzić chrześcijaństwo tylko do biernych cnót altruizmu, ten zapomina o czynnej połowie, władającej światem religii. Bóg chrześcijański to nie tylko

Bóg, cierpiący na krzyżu, ale to zarazem Wielki, Nieskończony, Wszechpotężny Pan świata, którego wolę czynić należy ku urzeczywistnieniu ideałów prawdy dobra ile są możliwe na ziemi.

Szukać go więc należy nie tylko we własnej, roztkliwionej na nędze ludzkie duszy, nie tylko we własnym, bolejącym sercu, ale i w silnej działalności, w podniesionym, zacnym trudzie, nie tylko we wmawianej w siebie wierze, ale i w czynieniu, nie tylko w duchu, ale i w materialnym życiu. Czy taki zaś narkotyczny, wymęczony na sobie chrześcijanizm, do jakiego Loti się przyznaje, zdolnym jest ducha do owego czynnego szukania prawdy usposobić, zdolnym jest wolę energią natchnąć, wątpię.

»Wszelki, który słuca słów Moich, a nie czyni ich, podobny będzie mężowi głupiemu, który zbudował swój dom na piasku« — mówi Ewangelia. Twarde dawniejsze fundamenty dawnych wie-

rzeń ostatnie dwa wieki rozkruszyły w duszach współczesnych na piasek. Na tym piasku próbują stawiać swe umysłowe domy nowożytni ludzie. Ale budowle to znikome i lada wiatr je obali, czy są wznoszone w stylu szablonowego sceptycyzmu, czy też w stylu kapryśnym własnej, nietrwałej wiary. Pierwszem więc zadaniem każdego myślącego człowieka jest dokopać się do niewzruszonej we własnej duszy opoki, gruzy wymieść, albo spoić je niezniszczalnym cementem wiary i dopiero na takim fundamencie dom swój umysłowy stawiać. Mówiąc poprostu, zanim przyjdą czasy wyraźnej dla wszystkich, zrozumiałej syntezy między wiedzą i wiarą, należy tę syntezę jakkolwiek bądź w sobie samym indywidualnie wypracować, trzeba się porachować z Bogiem. Bez takiej syntezy żyć, naturalnie, można, ale to będzie właśnie chorobliwe życie większości współczesnej inteligencji,

miotane lada wichru społecznego powiewem, życie bez wagi i mocy, życie bez energii i charakteru. Książka Lotiego, zdaniem mojem, wyraźnem przedstawieniem bolesnej, a zarazem marnej psychiki takiego niesharmonizowanego człowieka wykazuje właśnie owej wewnętrznej harmonii konieczność.



67612

SPIS RZECZY:

---

	St r
Wrażenia starego kawalera . . . . .	I
Oświadczyńy . . . . .	35
Powrót dziedzica . . . . .	51
Ciocia Marcysia . . . . .	101
Na cmentarzu petersburskim . . . . .	123
Vanitas vanitatum . . . . .	133
Custos quid de nocte . . . . .	149
Jeruzalem . . . . .	167

---